Rabinowa noc

RABIN.
LEJA, córka jego.
POETA.
XIĄDZ.
PŁANETNICA.
HAPUN i t. d.

Dzieje się podczas pełni poetyckich przywidzeń. Wystrzał piorunu oznajmia rozpoczęcie widowiska.

Widać pieniącą się rzekę, błyskawice i gromy, w oddaleniu rzęsiście oświetlony pałac i wierzby nad drogą, pokurczone, kalekie, jak tabun żebractwa. Karczma staroświecka, kolumny wygięte i przegniłe z arkadami, w środku izba ogromna, rozjaśniana mdło szabaśnikiem. Rabin modli się nad trumną Lei, w stroju białym z pasami czarnymi, zakon na głowie.

Poeta wchodzi otulony w płaszcz, z odkrytą głową. Bujne ciężkie kędziory spadają mu na ramiona, twarz śniada, łamana na powierzchni wesołością, lecz oczy nieruchome i posępne. W ręku trzyma flet.

POETA.

Życie, to jabłko, które gryzie wyzwolony mój duch. Nadpleśniałe z jednej strony, ma cudną rumianość i smak *(rzuca ogryzek w drzwi)*. Hej, otworzyć wrota, olbrzymy! hekatonhejry, hippomeduzy! na Pryjapa, czerwone nici piorunów przyszyją mnie do mokrego łona mamy — ziemi! Gdzież to się ukrywa brodaty dwunóg? dać go sam tu! *(Dźwiga ogromne bierwiona i z rozmachu jak taranem wybiwszy jedną szybkę, wpycha go w głąb karczmy).*

RABIN.

Gewałt, gewałt! jo ni mam piniązów!

POETA.

Otwarłem ci drogę do ich zrobienia, masz orła srebrnego i nastaw samowar.

Ha, woda jest początkiem światów, przychylam się do Hieraklita, bo febra trzęsie moim mózgiem, jak drzewem rodzącem dziwotwory.

RABIN.

Nu, ilu was jest co tak gadacie, a jednego słychać?

POETA.

Imię moje legion, jestem człowiek Apokalipsy.

RABIN.

Ja mam córkę chworą.

POETA.

Ja mam chorego brata, otwieraj, bo podłożę zapałkę pod ten piękny ustęp z Pana Tadeusza:

«Karczma z przodu jak korab', z tyłu jak świątynia» —
«ściany dymne i brudne, jak czarna opona»...

RABIN.

(Otwiera z siedmiożarzącym się świecznikiem w ręku). Gdzie brat?

POETA.

Miałżem go wieść na takie gromy, jak ślepego Lira? Samowar, starcze.

RABIN.

Tfu, ja się boruję z dyabłami, —

POETA.

Wierzaj mi, jestem ich najwyższym Bafometem — i oddam tobie na pacht całą piekielną oborę za kielich — *(spostrzega trumnę)* ha — to jest widok! — szczęśliwy, co masz taki raj do opłakiwania.

(Rabin objaśnia świece łojowe, w blasku ich widać piękną wyanieloną twarz umarłej).

POETA.

Ocknij się, Różo Saronu, twe oczy podobne zamarzłym jeziorom, twoje hebanowe brwi jak łuk, z którego Eros miotał złote strzały. Oh, włosy twoje płomienne jak poemat Ibn Gabirola — dzieweczko, śnij! Star-

cze, będzie herbata? *(dzbanek wystawia pod rynnę, rozżarza węgle, dmucha zdjętym kołpakiem maga w samowarze).* Demonie ognia, wirem białośnieżnych żądz rozkip tę córę Oceanu!

RABIN.

O weh mir, o weh mir — pan się trupów nie brzydzisz, to pan jesteś doktór. Skąd pan jedzie? ja panu też zapłacę — tu w okolicy jeden owczarz mówił, że jej dano zawitkę — o żeby ten czarodziej miał sto pałaców, w każdym pałacu sto pokojów, w każdym pokoju sto łóżek i na każdym łóżku wytrzęsła go choroba!

POETA.

Nie żałuj, twoja córa płynie przez morza, gdzie gwiazdy są pianą. Lecz woda kipi — masz czaj? lub siano? a choćby rumianek po chorej? nic? — a więc nic! *(wyciąga z kieszeni buteleczkę wina).*

RABIN.

Jest siano. *(Na dworze głos tubalny).*

XIĄDZ.

Otworzyć tam, panie karczmarzu, jestem proboszcz z waszej parafii.

POETA.

Nie z naszej, ale prosimy — semper in horam — wino w ręku. *(Chłopczyk dzwoni, xiądz wnosi obraz św. Grzegorza, patrona od gromów — gdzie ten święty relikwiami rozpędza chmury czarne, a zwalony z konia, nabrał pokory).*

XIĄDZ.

Bóg krył się w ziemi Egiptczyków i teraz się nie obrazi, że sługę Jego przed deszczem tu schronię. Co widzę? uciekam.

CHŁOPIEC.

Proszę dobrodzieja, kto się potknie, to buch w rzekę.

XIĄDZ.

Dziej się wola — umarła — no! patrzcie — widziałem ją — znałem — była — niema jej — może będzie?

POETA.

(Nalewa wino, do rabina). W twoje ręce, stroskany kapłanie. —

RABIN.

Nie jadłem już — nie piłem z jakie cztery miesiąców.

XIĄDZ.

Dni?

RABIN.

Niech sobie będzie dni. Oj Lilith, Lilith, Lilith! Lilith — fałszywe są wagi Jehowy — tobie było iść w górę, mnie do ziemi. Może polubiłaś jakiegoś Cherubim i on cię porwał na sześciu obłokach?

XIĄDZ.

Inaczej się człowiek czuje — robaczek pękł — lecz z kimże to mam zaszczycik?

POETA.

Świtę zostawiłem w sąsiednim borze — hic Rhodus hic saltus — powódź zerwała mosty i rzeka pieni się jak Otello.

XIĄDZ.

Jak co?

POETA.

Jak lernejska hydra, gdy ją przypalano ogniem. Masz Xięże wielkiego tajno-grzesznika przed sobą — zamyślam grzech — odpuść mi go z góry, bo jest nieunikniony.

XIĄDZ.

Może waćpana zdołam odwieść.

RABIN.

Do widzenia waćpanom!

XIĄDZ.

A dokądże w taką straszną noc?

RABIN.

Oj w straszną, oj w straszną noc... *(wychodzi).*

XIĄDZ.

Piękna dziedziczka tego pałacu pojechała na ślub.

POETA.

A tak, z księciem Gipiurskim.

XIĄDZ.

Ma być szaławiła. A waszmość pewno służysz i zapomniałeś się do swej czynności.

POETA.

O zapomnienie nie posądzaj. Jestem ogrodnikiem tej pani, podawałem jej nieraz strzeliste antyfony z róż mistycznych, a nawet znalazłszy kwiat paproci i podziemne skarby. –

XIĄDZ.

Coś bredzi. Mów waszmość do rzeczy.

POETA.

Rzeczy mię nie pojmą, mówię do swej duszy. Wyhodowałem nowy gatunek orchidej: alfa łabędzia i czarny powój: kula w serce, tak zwany z powodu czerwonych centek. *(Wicher wyrywa drzwi i kołysze ciałem rabina, powieszonego na przyźbie).*

XIĄDZ.

Wszelki duch... Ave Maria!

POETA.

Morituri Te Salutant!

XIĄDZ.

Już odleciała dusza.

POETA.

Już odleciały humory ciepłe.

XIĄDZ.

Stoi na sądzie pańskim.

POETA.

To jest, stojąco wisi.

XIĄDZ.

Waćpan heretyk?

POETA.

Ni to, ni owo.

XIĄDZ.

Możeć zostało co wina dla rozgrzewki, to daj, a nie – to uchodźmy. *(Patrzy w pustą butel).* Nicość! nic!

POETA.

Przeląkłeś się, Xięże! piękny dowód, że natura ludzka boi się prózni.

XIĄDZ.

Ale jak przejść? z otwartej gęby zwiesza się czarny język, oczy przenikliwe jak szpilki – uważasz waćpan, jak świecą w mroku?

POETA.

Nie umiesz Xiądz jakiej dykteryjki? ba, na czemże usiąść — na podłodze wilgoć — mam pomysł. *(zamyka wiekiem trumnę i siada na niej).* Oto krzesło Tamerlana.

XIĄDZ.

Ciało bez duszy jest gliną!

POETA.

A więc siadamy na wzgórku. *(zastawia drzwiami widok wisielca i siada).* Odwróceni tyłem do szubienicy, i siedząc na tem czego niema, możemy patrzeć w ponure oko czarnej Empuzy.

XIĄDZ.

Waść się nie lęka duchów?

POETA.

Opowiadajmy, że ich niema.

XIĄDZ.

To mi trąci perfidyą. Dla nauki twej, choć nie lubię wspominać, opowiem. Znałeś waćpan na Litwie Bizuny?

POETA.

Bizuny? tak, ale omińmy tkliwe wspomnienia: *(nuci)*

Te brzóz kilka — ten bieg wody —
jak mi wiele przypomina!....

XIĄDZ.

Nie odwódź że mię — co chciałem rzec. Tam przy kościele żył przyjaciel mój, wielki tomista i kanonik, a przytem człowiek serca.

Kościół był staroświecki—jeden z pierwszych na Litwie, zbudowany w miejscu pogańskiej świątyni. Cały z modrzewia, tylko podłoga kamienna, a w niej ogromna płyta bronzu. Napis był nieczytelny, lecz się zachował znak, który mi wykładał kanonik jako mikrokosmos.

Ninie płyta jest rozpęknięta, jakby kto w nią ciężkim żelaznym młotem huknął—*(słychać jęk w trumnie)*

Jezu!

POETA.

*(bledn*ą*c)* To mysz — cóż dalej?

XIĄDZ.

Dopóki choć dwie dusze były w kościele (jako pan Chrystus mó-

wił, gdy się zbiorą dwaj w imię moje – ja będę z nimi) – było cicho – i nie straszyło.

Niechże się został kto sam jeden – to zemknął wnet trupio blady, słysząc gwałtowne uderzenie szpadą w bronz.

Salve Maria, cóż mi się znowu zdało – nie będę tu siedział – *(wstaje)*.

POETA.

Jeśli będzie jaki dowód – i owszem – duchy niech się zlatują na te Dziady niedowiarków.

XIĄDZ.

Raz w nocy wzywają księdza do konającego – trza było wyjąć z tabernaculum sakramenty. Przyzwał organistę, ze świecą weszli do mrocznej świątyni. Jak zawsze paliła się jedna lampka czerwonem migotliwem zarzewiem. Podeszli do ołtarza – wtem – *(słychać stuk w trumnie)*.

POETA.

(blednąc) Wyraźnie stuknęło.

XIĄDZ.

Nic – proboszcz zapomniał kluczyka, zbladł jak pan w tej chwili, ale się opamiętał, organiście każe się wrócić po kluczyk. Wstyd mu było odchodzić, jako słudze Boga przedwiecznego – zostawić pole strachowi. I został mimo zaklęć organistego. I został się w mrok sam z kagankiem.

Organista nie doleciał domu, w tem straszliwy grzmot, myślano że się kościół wali –

zbiegli się ludzie –

Xiądz leżał martwy na schodach z pękniętem – sercem,

POETA.

Podobno w medycynie najrzadszy wypadek.

XIĄDZ.

a płyta rozbita – o – tak w trójkąt, co nie dowodzi magii, jak chcą –

POETA.

(wskakuje i patrzy przerażony na trumnę – wieko z trudem się odmyka – i znów zapada).

XIĄDZ.

Szatan chce zwieść – mdło mi – trzymaj, mam wizyę –

POETA.

Zbudziła się w letargu – trzeba odemknąć –

XIĄDZ.

Nie waż się —

POETA.

Ona swe rączki ogryza w męce —

KSIĄDZ.

Przebóg — to pierwszy się odważę — Domine exaudi me — *(podnosi wieko).* Aj, aj!

(Wychodzi Hapun w stroju na pół króla dzwonkowego i policyanta, za nim kozieł grający na dudach, karzełki—i znowu widać w trumnie cichą uroczystą Lilith).

HAPUN.

A psik! paskudne powietrze! z tymi żydami nie mam spokoju, wiecznie śledztwa, egzenteracye, i włóczenie ich do kałuży piekielnej *(pieczęć macza w czaszce i kładzie czerwony znak na plecach rabina, kozieł i karzełki grają marsza żydowskiego).*

MUZYKA.

(wesoło:) Rydy-rydy-rydy-rydy
cymes-pimes-dymes-gaj —
(smutno:) rachcia-pachcia-machcia-graj.

CHÓR.

Poszła Lejcia do boru
ti dy rydy-rydy-graj.
zrobiła figurkę sporu
ti dy rydy-rydy-skacz!
I wykłuła lalki oczy
a kawalir krwią się moczy,
ti dy rydy-rydy-hoc!

HAPUN.

No, w kąt, niedonoski! Ukończywszy pierwszą część urzędu mego, to jest poświadczenie, że rabin stał się opiekielniony, kłaniam uniżenie panom do miłej kompanii. No, pokurcze, niech jeden zrobi ze swego grzbietu zielony stolik, drugi będzie trzymał ręce niechrzczone zamiast świec, karty mam ze skóry niepoprawnych grzeszników, zabawiają się nimi w niebie podczas słoty. A tu elixir miłości, ciasteczka na mleku nie-

winnych dziewic, zacierane żółtkami ojców świętych. Panna Lejeczka — a jakże wyładniała, odkąd ją oglądałem w żywocie Mamy.

POETA.

Mości królu, to nie sztuka
opowiadać, badać, zjadać,
ale rabinowi brodę ściąć,
zmiąć
i ogniste rzucić: bądź!

(Obcina i zapala pół brody rabinowi, rzuca garściami na cztery wiatry—przez komin wlatują pokaleczone wierzby, topielice, chórem nucą przez zakryty nos).

CHÓR.

Postawiła babka karty,
wyszły króle, damy, czarty.
Grzmi w karecie płanetnica,
na noc jedną szuka fryca.
W tem błysnęło i zagrzmiało,
już nadjeżdża martwe ciało.

(Słychać turkot karocy i trzaskanie z bicza, karzełki obskakują xiędza i szepcą mu coś do ucha, poeta wygląda przez okno—tymczasem tłum rojąc się wynosi trumnę Lejki, a wnosi nową).

POETA.

Słyszałem wyraźnie turkot, lecz widzę tylko od wichru rozpaczliwie zgięte drzewa — Co będzie z moją duszą, której sobotwór tuła się po księżycowych pustyniach, zaś ona warjuje za kratami tego lichego życia. Czegoż chcą od Xiędza te bestyjki?

XIĄDZ.

To czary przeciwkościelne—
zabobon, gusła, dziwactwo—
oto mię skomli żebractwo
o śluby jakoweś piekielne—
nie dam! i egzorcyzmem
spalę ich bluźniercze karty—
tak z miast średniowiecznych czarty
wypędzał Franciszek krzyżmem. *(żegna).*

POETA.

Zapóźno — albo zawcześnie
ochrzcić ten pogański świat —
mojej duszy ciemny sad
rozśpiewany widmami, jak we śnie. *(nuci)*

Stoi kamień na kamieniu i jeszcze kamień —
a ty się serce na smoka zamień,
Płyną łzy po kratach, kiedy więźniu wrócisz?
idź swą drogą, panie, bo się nie zasmucisz.
Mógłbym w trumnę składać i podnosić z trumny,
bo z mego serca jestem dzisiaj dumny.

(stając nad trumną) Dzieweczko, wstań!

XIĄDZ.

(jednocześnie, modląc się przedtem, wyciąga ręce nad trumną) Tibi dico, surge! *(Trumna okryta zasłoną staje w pion) (do siebie)*

Mocnym jest Pan Bóg w żarcie
i tę błazeńską Walpurgę
dał na mych zwątpień rozdarcie.

CZART I.

(Dwa czarty się biją).

Odejdź, do cudzego rondla
nie mieszaj swojej przyprawy!

CZART 2.

Mojego nie gryź kondla,
bo w gryzieniu nie masz wprawy!

XIĄDZ.

Rezurekcya — nie zabawy! *(bierze za rękę — poeta za drugą ciało okryte zasłoną — lecz żywe).*

HAPUN.

Skoro was dwóch się swarzy
strzeliwszy wraz do cieciorki,
to wystrzelcie pannie korki
i spijmy się w umór, jak starzy.

(Poeta zrywa zasłonę — ukazuje się w szatach indyjskich kosztownych Planetnica — z sinymi wężami na głowie — na tronie z pawich piór — u stóp jej lew — gdy zasłona opadła — ryknął!)

XIĄDZ.

Co widzę — to jakaś potwora!

POETA.

Sprawdza się snów mych Chimera.
jako w świątyni Ankora
wąż magii, żądz mych pantera
i za gwiazdami wyśniona
Mylitta, Hewa, Mignona,
indyjska róża trująca
i prześwietlone kłosy,
jakby w otęczy Miesiąca
Madonna — u stóp lew — na głowie połosy.

PŁANETNICA.

Porzuciłam siostry moje
dla Ciebie, kochanku wyśniony—
tam pałace, kwiaty, zdroje—
a tu zimny grób i dzwony —
miau!
Pną się czarne senne kwiaty
na niewiadomych ołtarzach,
palą się w płomiennych żarzach
moje stygmaty —
ssss!
Porwę cię nad gór krawędzie
do błękitnych grot.
Serce z Boga mam — nad głębiami lot—
tułam się w obłędzie —
grru! cocotte!

HAPUN.

(do poety). Miłościwie mnie poddany! lud nasz chce igrzysk! zaklinam cię na wszelką mysz, urodzoną z góry, przestań dąć w ten róg jednorożca, który już nie bawi starych zanudzonych dzieci, a wprowadza nas w podejrzane towarzystwo—gwiazd. *(do Xiędza)* popchnij mój wniosek, a nauczę cię grać w Jenimora oraz opowiem tysiąc i jedną noc z koncylium Trydenckiego. Pani zgubiona gwiazdo, proszę zrobić wesołą minę

ja, stary pustelnik, wiem, gdzie raki zimują. Panie młody, powiedz, jak się zwiesz?

POETA.

Polonus-Errant!

HAPUN.

Dam wam nominacyę na wesołych kochanków pod pierzyną księżycowego światła. Lecz zaśpiewaj mi, kochanku, swoje credo!

POETA.

Tak się spowiadam, patrząc w twarz Natury:
trzem bogom służę, trzech bożyszcz nie znoszę.
Wielbię Ocean, księżyc i chmury –
topiłbym gawiedź głupców nademną,
wieszałbym gawiedź łotrów dokoła
i deptałbym gawiedź – niewolnika we mnie!

HAPUN.

Zarżną cię – cofnij!

POETA.

Gotujcie mi nosze –
i do ataku marsz! w bębny dobosze!

HAPUN.

Pobłogosław, patre, ich potomstwo zaludni ziemię nowym gatunkiem, który ubawi niebiosa.

POETA.

Powiedz, siostro, co widziałaś w niebiosach,
bo masz w oczach miesiące, a zorze we włosach,
biją róże od ciebie, woń jodłowej truny.

RABIN.

(Rabin wbiega).

HAPUN.

Oddam tobie córkę i rozum zgubiony za resztkę brody.

RABIN.

Czy to walor, złoto, śrebło?

HAPUN.

Potrzebuję jej na zgrzebło.

RABIN.

Aj, ten despekt!

HAPUN.

dla Gorgony!

RABIN.

Więc przy świadkach, choć łza kropi.
(Uszyję nową z konopi!)
(Hapun zapala drugą połowę brody).

POETA.

Wichrze, nieś, ponad rozsądku hałaśliwe pianie!

HAPUN.

Capy w cwał! na łopaty, panie!
(Tłum cały wybiega z piskiem, wyciem, muzyką — w ogniach łamiących się z mrokiem).

. . . .

. . . .

(d. n.) *Tadeusz Miciński.*

Rabinowa noc

II.

. . . .

. . . .

Kłębią się białe bagnisk opary — do nadbłotnych brzóz przytulone purpurowe liście rosiczek, paprocie, kopytnik, czarcie ziele. Między taflami czarnych torfowisk — kościół opuszczony, zwiotczały, starodawny, z modrzewia — jeden z tych, które na Litwie odmykane są raz do roku.

Po chwili przebłyskują światła — wchodzi orszak ślubny, służba świeci kagańcami, by ustrzedz przed grzęzawiskiem.

PAN 1.

Coś kardynał się opóźnia,

PAN 2.

Ta noc była pełna grozy.

PAN 3.

Umysł się jak pas rozluźnia —
w błyskawicach drżą wąwozy —
cały zamek leciał w chmurze
i nadmiar elektryczności,
jak win musujących krużc,
pośród omyłek miłości
budził Centaura w naturze.

(Xiążę rozmawia z teściem zażywnym, łęgim, z bogatymi pierścieniami, ciągnącym z litewska).

TEŚĆ.

Milion trzykroć nowych długów?

XIĄŻĘ.

Lecz dobra me pod Smoleńskiem—

TEŚĆ.

w subhastacyi! bez koni, bez pługów,
a z inwentarzem żeńskim.

XIĄŻĘ.

Wypraszam sobie kuratel!

TEŚĆ.

Jam nie graf—no obywatel!

XIĄŻĘ.

Spóźnia się stryj mój kardynał,
bo ma on rzymski zegarek.
Racz pan teść za kontuarek
wziąć ten notes, który zginał
niejednego już bankiera.

TEŚĆ.

Rewersik w cztery miliony?

XIĄŻĘ.

Żebraczką nie uczynię żony.
Chociaż miłość we mnie szczera,
musiałbym wyrzec się kroku,
co połączone z skandalem.
Toż stryj kardynał mój z żalem,
z różą chrześciańską w widoku
dla mojej przyszłej teściowej.

TEŚĆ *(podchodząc do córki).*

Słysz mię, Hanna, ten grobowy
odłożym na później ślub.

HANNA.

Jak chcesz, ojcze —
(do siebie) przez mój trup!

W dal ciemną płynie Oresa —
może się ona zlituje?

TEŚĆ.

Cóż do biesa,
mów jak człowiek.

HANNA.

Nie pogrążę Cię,
w nurt mej winy.

XIĄŻĘ (*zdala się przysłuchując*).

Nom de chien!

TEŚĆ.

Upadłem ja z rusztowania.
Tak ty musisz? no, serce! Hania,
przed ojcem nie miej tajemnic.

XIĄŻĘ (*wychyla się*).

A więc słowo? bo słyszę kardynał —

TEŚĆ (*do siebie*).

Ot tobie: Paryż i Chemnic!
ot tobie kniaziowską koronę.
Bór zrąbiem — cóż robić? choć z jękiem,
ściągniemy ten kielich z ołtarza —
dziad w grobie będzie przeklinał —
ojczizna —

XIĄŻĘ.

Waćpan mię znieważa!

TEŚĆ.

Zapłacić Xiążęciu za żonę?
o, ta hańba jest godna zapłaty!
szabli nie mam — no stangret ma baty — won!

(*Xiążę dobywa parę pistoletów*).

XIĄŻĘ.

Przewidziałem.
(*wołając*) Comte Josephe i sir John —
załatwimy się z szlachciurą,

co oszukał, jak nasz szlagon
tylko umie!

(Muzyka fletów, łkania i śpiewy. Bogunki wnoszą na jodłowych gałęziach złotogłowiem okryte ciało śniącego Poety. Płanetnica siada na wschodach kościelnych, które się rozbłyskują jak tron z alabastru i emalii).

GŁOS I.

Czy widzisz? tę ponurą
postać? jakby Mór!

GŁOS II.

Ta ambona! jakby Dagon
swą otworzył paszczę! — a ten chór!

GŁOS III.

Czy anieli zabłąkali się na ziemi?

GŁOS IV.

I ten śpiew — dziewic z twarzami trupiemi.

XIĄŻĘ *(zapatrzony w Płanetnicę).*

Alboż warto od skąpych teściów wyłudzać miliony, kiedy są takie cuda mówiące oczom: spójrzcie - i zakryjcie się na wieki.

Pani!

przeraża mnie jej milczenie — i ten lodowy chłód jej oczu, jak bizantyjskiego anioła w mauzoleum.

BARON.

Słuchaj, mon cher — nie będę ci sekundował.

Osławiłeś pannę, o której Bóg wie co gadają.

Gdyś był w Monaco — tęskniłeś za wyżłem, serdeczną żoną i choćby jednym folwarkiem.

Pomogę ci długi spłacić, a te parękroć, coś mi przegrał w karty, to mniejsza.

XIĄŻĘ.

Baronie — długi spłacam ja, ale nieproszonych dobrodziejów — za drzwiami.

BARON.

Nie będę sam, bo Xiążę się już tam dawno znajdujesz. *(odchodzi).*

XIĄŻĘ *(do Płanetnicy).*

Bóstwo moje — nim słońce wzejdzie, kula przeszyje tę pierś, którą miałem zawsze za umarłą.

Ale płoną w niej wulkany niegasnących i nieziemnych tęsknot.

Zrujnowane majątki, honor, pomięte jak łachman życie ceną są zbyt niską na to obłędne, wymierzyć się nie dające, jak otchłań pod gwiazdami — szczęście.

Modlę się do Ciebie po raz jedyny w mem życiu — tą chwilą, która już przeszła horyzont i stała się wiecznym posągiem w świątyni cudu.

Odwróć oczy Twe zapatrzone w pustynie — przeszyj mnie błyskiem, który się wświeci, jak promień księżyca, w czarną toń mojej melancholii.

(Planetnica zwolna odwraca swą twarz — ujmując głowę Xięcia — przechyla ją — wpatruje się w jego oczy — jakby one były na dnie otchłani).

XIĄŻĘ.

Zielone, zimne głębie, niby fale rzek wiosennych, niosących szyby lodów.

Włosy mające połysk wodospadu.

Ręce świecące iskrami, a w dotknięciu jak marmur.

Twarz jej sina — oczy rozwarte szeroko widzieć się zdają zatopione miasta w jeziornej głębinie.

Ach, i mnie serce stygnie, oczy się mącą.

(wzdryga i staje się nieruchomy. Słychać daleki wystrzał).*

Bogunki otaczają Xięcia, kopią grób, składają ciało, usypują mogiłę i nakrywają darnią.

Trwa to jeden moment, acz zwolna to czynią i bez pośpiechu).

GŁOSY.

Przeklęte mroki! fagasy — świateł! gdzie jest Xiążę? Baronie to **ty**? słyszałeś wystrzał?

PAN 1.

Zajrzała do mych oczu — i rzekła: jutro o tej porze ujrzysz mię przed zgonem.

PAN 2.

Dotknęła mi serca i zagrała dzwonem.

PAN 3.

Mnie rozkryła głąb grzechu i piekła.

(Hanna wchodzi blada z rozwartemi szeroko oczyma i drży. Bogunki ją otaczają, kładną welon).

---

*) Tyle tylko słyszą inni ludzie z całej ogromnej Miserere samobójstwa.

BOGUNKA.

Miłość prowadzi, miłość ogrzewa,
na słońcu żyje, w mrokach śpiewa.
Jeden twój czarny utonął wianek,
na łożu z kwiatów śni kochanek.

(zdejmują złotogłów—obcinają śniącemu Poecie kędziory, z twarzy i stroju czynią go podobnym do Xięcia).

POETA *(budząc się).*

Prastary to kościół—nad ołtarzem wiszą łańcuchy i narzędzia tortur.

Czemuż ja w stroju czarnym? czemu te rękawiczki na ręku? i kwiaty ślubne?

Czy śniąc w trumnie, zapalać mam życie?

BOGUNKA.

Kościół podźwignij w śniącej naturze,
krew Twą przemienią gromy i burze.
Dla duchów gwiazdy—ziemia dla ludzi—
żądza pogrąża—ofiara budzi.
Pokłoń się ojcu—proś przebaczenia—
za winy cudze—weźmij cierpienia.

(Poeta jak w śnie magnetycznym—czując tchnienie zamogilne Xięcia—zbliża się do Teścia, który siedzi na obalonym dębie z załamanemi rękoma).

POETA.

Jeślim zawinił—do nóg się chylę—
życie poznałem—stojąc w mogile.
Ach, jaki miałbym raj na ziemi,
gdybym zmył grzech mój łzami rzewnemi.

TEŚĆ.

Obudziła się w tobie krew hetmanów, — to dzielnie, mój chłopczel ona Cię wielbi duszą całą, ona Cię chciała mieć bohatera. Lecz wystarczy, jeśli będziesz ją kochał i wysoko nosił sztandar, za który ginęli nasi ojcowie.

ROPUCHA.

I mnie się musisz pokłonić!

POETA XIĄŻĘ.

Kto jesteś, zjadliwe zwierzę? jad lśni na twoim grzbiecie, oko twe nieruchome z zimnym połyskiem, który udręcza jak zmora.

ROPUCHA.

Całowałeś córkę moją — jestem chuć.

POETA XIĄŻĘ.

Kłaniam się tobie, bo jest chwila pokory, kiedy trzeba wszystko uczcić.

ROPUCHA.

Można was kupić hołyszów za tani pieniądz. Moja córka nie ma nic. Idź, zerwij ślub.

POETA XIĄŻĘ.

W jakiejże jestem zasadzce? hańba otacza mię, a jednak serce me czystsze od rosy — i bardziej pełne płaczu od ponurych wilgotnych grot, które nigdy słońce nie oświeca. To jest życie? o śmierci, pobłogosław mię na zerwanie łańcuchów — przez które żyję.

(do Hanny) Zmieniłaś się, Pani moja, odkąd widziałem Cię na balkonie wśród kwitnących magnolii.

HANNA.

Tak Xiążę — wiesz czemu.

POETA XIĄŻĘ.

Twarz nawet poryła Ci się smugami.

HANNA.

Jeśli zechcesz — nie będę płakała.

POETA XIĄŻĘ.

Miłość twa żyje niezmienna? i tylko dla mnie? rozpustnika — hulaki i karciarza?

HANNA.

Kochałam w Tobie płomień bohatera.

POETA XIĄŻĘ.

Lecz zapewne pamiętasz poetę — który Cię ubóstwił — i może zdołał skłonić, abyś w wulkan jego czyśćcowej męki rzuciła blady chłodny kwiat współczucia?

HANNA.

Oh, nigdy — Tobie zawsze wierna, nie miałam oczu na inne widoki — żyłam na dnie wieży, wpatrzona w księżyc Twojej zimnej miłości.

POETA XIĄŻĘ.

Lecz proszę Cię — wiem, że w tej mogile biedny leży człowiek — po-

sadź gałązkę jodły, niechaj mu szumi, niech śni w grobie, że Ty jego duszy nie zadeptałaś wzgardą.

HANNA (*obojętnie zrywa i sadzi na grób jodełkę*).

Kocham dzisiaj świat cały—ale ten świat—to Ty jesteś.

POETA.

Powiedz—gdybym trwając w dawnem zapomnieniu—Ciebie opuścił wraz z maleństwem, które już drga pod Twojem bijącem sercem — —

HANNA.

Chciałam umrzeć i teraz lękam się życia—lecz nie z hańbą, mój Boże—nie z hańbą dla moich siwych rodziców.

POETA.

I wybaczasz mi? żem Cię całował i wkradał się nocami do Twojej komnaty? rozpalając w Tobie żądze i zmuszając do brudnych uściśnień?

HANNA.

Nigdy nie czułam się zbrudzoną—nigdy—prócz tej chwili, gdyś mówił z mym ojcem — niedawno — ach, nie — przed wiecznością — lub raczej nigdy.

POETA.

Chodźmy — czeka nas Xiądz.

(*rozwierają się drzwi kościoła—rzęsisty blask—widać Xiędza w białej dalmatyce na głowie ma wieniec z paproci—tłum w podziwie ukazuje go sobie palcami*)

XIĄDZ.

W imię słońca — księżyca — gwiazd — gór — oceanów — lasów — i wszystkiego co ma duszę —

ziemio słuchaj.

Zawieszona nad próżnią—jesteś zbiorem atomów—tem, czego niema. Bezliczne słońca nad tobą — pyłem są w otchłani przerażenia i niemożebności, którą jest Bóg—Ten jedynie upragniony—jedynie święty—z wolą swobodną i twórczą — Ten, który nas oślepia cudami w swem niewysłowienie tajemniczem łonie.

GŁOSY.

Oszalał — mais c'est drôle — staruszek upadł na głowę.

XIĄDZ.

Bolesną a przedziwną ironią obaliły się we mnie zmurszałe wieżyczki Summy teologicznej świętego Tomasza, która była pisana w dusznej

celi przy kopciu lampki — runęły — mówię — od jednego spojrzenia na gwiazdy, od zapachu tych kwiatów, których miłość niepokalana a bezwstydna zabłysnęła cichem błogosławieństwem nad więziennym dachem mojej Inkwizycyi.

. . . .

Patrzcie — a nową świątynię buduje we mnie ten sabat, gdzie widzę wszystko, co znieważa mój rozum, podkopuje moją wiarę i na wieki strąca w otchłań różowego głupca — zadowolenie.

TEŚĆ.

U mnie rozum prosty szlachecki: ziemia jest, gwiazdki świecą no daleko. Bór ten wyrosnął, kiedy nas nie było — i, wierę, będzie, gdy z nas wysypią się otręby.

Pan Bóg milczy, bo cierpliwy, jednakoż śledzionka moja krzyczy gwałtu! wracajmy prędzeńko go dworu, dadzą nam fagasy żubrówki, łosiny, bigosu, kołdunków i co jeszcze.

Potem zajrzę do świrnia i ekonomii, obejdę buhajka, ciołki, pługi paszące nową pasiekę.

Tak żywiąc, przekażę zdrowie synkowi i spodziewam się wnukom od mojej tu przytomnej a najukochańszej latorośli.

Tobie doradzam także, mój Dobrodzieju, mocno się trzymaj tego kościołka, który Tobie dał chleb, spokój duszy i ludzkie szanowanie.

XIĄDZ.

Pomrzemy w zgrzybiałości serca — rzucą się na nas i poszarpią stada rozwścieklonej trzody chlewnej, że nie umieliśmy stanąć w potędze czerwonego morza krwi wylanej, w którem potonęli nasi ojcowie.

Poszarpią nas, jak truchlawe karcze nie dające przejść pługowi Nieśmiertelnego Anioła.

Prorokował nam Skarga, teraz ja, naigrawając się nad lichą nędzą naszego serca — rzucam ostatnie memento mori.

GŁOSY.

Zeszedł z rozumu! zatruwacz studzien! odstąpmy go! (*uchodzą prócz Hanny i Poety*).

XIĄDZ.

Was błogosławię, moje dzieci, na żywot męki, gryzących duszę wspomnień, łamiących się jak trzęsawiska wiar — idźcie, aż do grobu — nie sprzymierzając się z głupotą dobrodusznej gawiedzi — z fałszem przełożonych, pamiętając na miliony i miliony tych pokoleń, z których popiołu my jesteśmy tlejącą się żagwią.

A trzeba ją rozżarzyć w światłość wiekuistą. Amen. (*schodzi i znika w borze*).

POETA (*do Płanetnicy*).

Czemuż nie rzuciłaś mię, gwiazdo moja, w głąb czarnego księżycowego krateru, bym leżał przykuty do skały, a lawa sączyła się po mem sercu! (*Płanetnica głową mu potakuje*).

Włożyłem dłoń do chrzcielnicy, wyjąłem rewolwer. O nie, za lichy to ogień na nieśmiertelne ołtarze mojej męki (*rzuca broń. Do Hanny*).

Pani, czy modlisz się?

HANNA.

Za ciebie, serce moje.

POETA.

I cóż ci powiada Twój Anioł?

HANNA.

Że cię nie opuści — i powiedzie przez most nad czarną głębiną w którą lecą gwiazdy.

POETA.

Dziękuję ci, najmilsza moja. Muszę Cię odejść — nie czekaj.

HANNA.

Co mówisz? ach!
(*postrzega widmo księcia, który się przesuwa blady i zgarbiony, ze skroni leją się niteczki krwawe*).

POETA.

To mój sobotwór. Zjawia się on, gdy mam iść do nowego życia.

HANNA.

Ja z Tobą, ukochany. Jakiż tam cudny zamek!

POETA.

Lecz każde wstąpi przez inną bramę. (*chyli się i całuje jej stopy*).

HANNA.

Ach, nie jestem warta.

POETA.

To już ostatni pokłon przed bólem.

(do bogunek) — Weźcie ją, siostry, nocami nie prowadźcie nigdy przez bory.

Niech syna jej wykarmi Pan cichy i przemożny — Słońce.

(Bogunki zawiązują oczy Hannie i uprowadzają).

POETA.

Ból mię łamie — ból mię łamie — ten wicher nosi złowróżbne zarzewia.

Widzę postacie obce — ręce logów duszących nagle wszelki krzyk. Dzwon jakiś gra podemną i wstrząsa bramą mego serca.

Na pomoc? kto mnie woła?

(Bogunki wbiegają strwożone).

BOGUNKI.

Zbierz moc! idzie ten potwór, odrzuciwszy dobroduszną postać Hapuna.

Idzie On.

Po dywanie skrwawionych ciał—po duszach podłych i bezwolnych.

Niejeden zarzucił na szyję powróz — niejeden już, uchodząc przed mściwemi rękoma, w obłędzie wstąpił na głuche moczary.

POETA.

Każą mi spełnić czyn.

Wśpiewują mi zemstę i gniew.

Każą mi porwać topór i z nim ledz.

Lecz wzbroniona jest broń synom słońca.

Gdzie Planetnica?

BOGUNKI.

Między gwiazdami się błąka — gniewna, że innych szukałeś świątyń, niż te, któremi włada fatum.

POETA.

Dajcie mi słowo tworzące!

BOGUNKI.

W kurhanie tarcze zabitych witeziów — przekuj je sobie na mosiądz strun.

POETA.

Zabitych tarcze — nie będą nas bronić.

BOGUNKI.

Mogę uprosić u podziemnych law, aby wulkany zalały ten kraj.

POETA.

Mścić się na życiu? ja chcę tworzyć życie, ogromne jak sen.

BOGUNKI.

Uśpię wam dusze szemrzącym ruczajem wśród niezabudek i złotego jaskru.

POETA.

Śnić chcę — snem orła w błękitach nad światem.

BOGUNKI.

Na oceanie jest wyspa — pełna palm i grot i łkań morza.

POETA.

Nie żądam waszej pomocy — siebie uzbroję ja sam.

(Ryk — świst — huk łamiących się drzew — warczenie kół i dudnienie kopyt. Bogunki w trwodze się rozpierzchają.

Na potwornym łbie Mamuta z czterema nogami — stoi czerwony upiór.

Oczodoły rozżarzone fosforycznym migotem. Ponury złoty blask. Maszkary stłoczone w walce śmiertelnej i lubieżnych uściskach — wydzierają sobie dary Hapuna, który jest bożyszczem o mnóstwie wymion i rąk.

Lecz dwie prawdziwe ręce Hapuna, zaciśnięte w pięści, smalą po oplutych twarzach, wiążą łańcuchem).

HAPUN.

Z krwi i złota ukułem złote blaszki — naści wam — którzy gnębicie, którzy się nadymacie pychą, którzy pieścicie sprzedajne kobiety o przegniłych trzewiach.

Tryumf mój — tryumf błotnego najpodlejszego z szatanów.

Ty, niemy harfiarzu! uniosły cię bogunki — skryły przed pieszczotą, napoiły męką — i sądzisz się już dość możnym, aby wznieść niebiosa na bagnie.

POETA.

Kto żywy — do mnie!

HAPUN.

Gardziele, ściśnięte strachem, nie wydadzą krzyku. Wsłuchaj się w bulgot drgających pod wodą — oplątanych wężami —

oni się pożerają, gnębią, szkalują — nakryci gęstym błotem — spróbuj ich wydobyć — im dobrze.

POETA.

Widzę gromady widm umierających nad bagnem -- te wynędzniałe mary sąż dawnym ludem kapłanów i wojowników? mętne wyziewy jedynem ich pożywieniem --

nie znają błękitu ani gwiazd ani borów żywicznych.

Tam widzę mych braci, mych przyjaciół, mego ojca — tam widzę skrzydła moje zdeptane w kałuży — mokre i bez lotu.

HAPUN.

Stamtąd wyszedłeś — tam wrócisz.

POETA.

Ach, duszę mą zwiążę łańcuchem gwiazd — i rzucę się w ten ciemny tłusty ił — i będę ogniem żarzył — leniwe zbłocone anioły.

Jestem nieśmiertelny! jestem w Bogu! przenikam bramy niepodobieństwa! do mnie!

(słychać krzyk i szamotanie się — Xiądz wybiega ze śliskich objęć zbirów Hapuna pokrwawiony i zwalany błotem).

XIĄDZ.

Usłyszałem Twój głos — inni słyszą, lecz szum ich ogłusza — od przelewających się błotnych wirów, które oni nazywają zwątpieniem. Paprocie mi jedną chwilę błysnęły błękitnym płomieniem. Lecz znów słaby jestem, nędzny i grzeszny — urągam tej pysze, która się chciała oprzeć na marzeniu.

POETA.

Mówiłeś o gwiazdach które są uśmiechem otchłani, mówiłeś o Bogu którym jest mrok napełniony ogniami. Znowuż Cię słyszę apostołem smutku?

XIĄDZ.

Przywiążę się do krzyża i z nim będę płynął wśród wezbranej powodzi i piorunów.

POETA.

Przeżegnaj mnie — pójdę po cud zwycięstwa, który jest słońcem.

XIĄDZ.

Ono wzejdzie — módlmy się.

POETA.

Trzeba je udźwignąć. Ach, każdy świt, każde południe, każdy zachód — mocą jest okupiony bohaterów, których imiona przysypuje swym piaskiem pustynia.

(Rozwierają się przed nim podziemia — on strząsa szaty i w zbroi czarnej schodzi w głąb, która się zakrywa).

HAPUN.

Już zniknął — myśli, że tak łatwo wyjść z podziemi, jak wstąpić Ten jeden był mi groźny.

Modlących się nie lękam, bo są leniwi.

Lecz on porywał iskrę nieba i niósł na ziemię.

Żywych się nie lękam — bo zrobiłem z nich błotne maszyny.

Przed umarłymi drżę — lecz oni nie powracają. *(do zbirów).*

Tego klechę wziąć z lazurową skorupą razem i utopić na dnie hierarchii, niech po nim depcą wyperfumowani prałaci, niech go sadzą do ciemnych cel klasztornych na pokutę, niech mu wytną język nakazem milczenia — i niech mu obłąka umysł bezmocna litość dla wszystkiego, co pogrąża się wpatrzone w łęcze gnijących wód.

Niech grają Magoty tryumf pałaców, świątyń, królestw i kunsztów na błocie.

Gardzę wami, gardzę sobą, gardzę wszystkiem, co było i nigdy nie wróci.

(W tryumfalnym marszu wjeżdżają do Bagna, które występuje z brzegów i zalewa paprocie. Po chwili milczenia wysuwa się widmo Xięcia).

XIĄŻĘ.

Już jest najgłębszy mrok.

Zagasły błyskawice.

Gwiazd niema, lecz mrowią się ulice — i tylko śmierć — jakby indyjski tog zarzuca pętlicę —

szał

(Zapada czarna zasłona).

. . . .

(d. n.) *Tadeusz Miciński.*

Noc rabinowa.

III.

W mroku szarzeją komnaty o niskim ciężkim suficie: źwierciadła, portrety, meble staroświeckie.

Człowiek leży, porusza rękoma w niespokojnym śnie — głuchy jęk.

Cicho wysuwa się Cień, rozglądając, omackiem zbliża się do łoża.

Człowiek śniący płacze, wzywa w modlitwie:

Maryo!... matko człowieka w Bogu — — duszą mnie... oczu! oczu! nie widzę! powieki zlepione ropą ziemi — o!

Z za węgara drzwi wysunęła się bryła trzech splecionych ciał: maszkary, tańcząc fandango, zbliżają się do siebie w dzikim namiętnym podrygu — jedna z nich gra na skrzypcach melodyę barbarzyńską — ostrą — szarpiącą, jak pocałunki na plecach Skrwawionej.

Ciało na łożu zrywa się — i w okropnem przerażeniu usiłuje coś pojąć i zbudzić się — jednym rzutem jest już na środku sypialni, błyskając kindżałem.

Zmory rozskakują — i szydząc z rozumu, chowają się za tapety, w poręcze fotelów — lecz oto jedna, przechylona ponad drzwiami — kurczy się maską groteskowego szatana — krzesło z hukiem uderza w to miejsce i trzaska się w drobne okruchy wraz z lustrem, które wypada z ram — —

I znowu bór niebosiężnych jodeł, buków, olch — a u stóp ich wyrastają paprocie — i jezioro prześwieca fosforyczną głębią. Naniesione lodowcem granity sterczą jak ołtarze nad puszczą.

CZŁOWIEK.

Piana ocieka mi z ust, lecz i łańcuch pękł czarcich udręczeń.

Boję się duszy mej, gdzie wśród mroku świeci otchłań pełna krwi, wężów i mgły ulatującej z posiniałych warg.

Zasnąłem, przysiadłszy w rowie; znużony jestem, idąc przez tę puszczę ku celowi, którego nie znam — przez gęstwiny mroczne i jakby skamieniałe od zaklęcia.

Boję się głębin.

Świętojański robaczku, migotaj nad ścieżyną mą!

I ty, żująca trawę łani, przytul do mnie swój łepek z mądremi oczyma, które cichym, modrym blaskiem świecą w tej nocy — ach, nigdy do piersi kobiecej nie tuliłem się z taką wdzięcznością.

Widzisz—sam jestem — i wraz umrę, albo się spełni—o czem lepiej nie myśleć.

Łani, tobie oczy wystrzelono śrutem—ja płaczę ze wstydu.

Węże u nóg mych cicho pełzają, błyszcząc się, niby strumienie w księżycu.

Przynieś mi, wężu, mój braciszku, podwójny błękitny kwiat, abym położył w jej puste oczodoły, migocące fosforem zgniłego ciała: przyleśny, żywy kwiatek—i nie czerwony, któryby straszył zwierzęta swym żarem.

Czy twoje serce wstąpiło we mnie, o łani, że już bezpiecznie przechylam się w ciemność i nie boję się rąk złego ducha?

Wy ćmy, zlatujące pod namioty mych powiek, — i wy jadowite pajączki: możecie gniazda tkać w mych włosach, a ja, nieporuszony jak fakir, będę się nasycał Bóstwem.

Sam jestem w raju z wami, o zwierzęta, drzewa, strumienie i ty, świątynio tajemnic, gwiaździsty Oceanie! lecz pragnąłbym jeszcze posiąść jedną istotę gatunku mego — — z wnętrzności serca, jak z dna jeziora, wynurza się błękitny Cień, ach, moja Oblubiona.

W łachmanach — w zgrzebnej koszuli — stąpa po srebrnych czarach i amarantowych liściach wzruszonej mrocznej głębiny—spódniczka do kolan z kwiecistego jedwabiu—a nogi piękne, jakby utoczone z kości słoniowej, a rączki pokłute cierniami, jak u Maryi Magdaleny, gdy zdejmowała koronę swemu Zbawcy.

O, nie pokutuj, Maryo, niema już grzechu na tej ziemi, którą zaróżowił nasz uśmiech.

Oddamy się zobopólnej rozkoszy wśród łanów szeleszczącego zboża— i nie będzie nas widział nikt, oprócz Nieba pełnego oczu, gdzie gwiazdy, jak owady nocne, obejmują się w locie napowietrznym, a źrenice ich — szlifowane dyademy — patrzą w otchłań dwudziestu tysiącami kryształków. Czemuż ja płaczę? ach nie, to rosa z drzew sączy się po mej twarzy.

Śliczne okrągłe masz piersi, podobne ogrodom kwitnących granatów króla Salomona, lecz źrenice twe czarne o łunach krwawych, jak stygnące żelaza.

Kto jesteś?

OBŁĄKANA (*mówi zwolna głucho, bezdźwięcznie*).

Szalona.

CZŁOWIEK.

Czekasz tu kogo?

OBŁĄKANA.

Nikogo — nikogo — nikogo.

CZŁOWIEK.

Gdzie sypiasz w noce jesienne i mroźne, gdy biały szron powarzy liście?

OBŁĄKANA.

W jodłach — między korzenie —

CZŁOWIEK.

Wilków się nie boisz?

OBŁĄKANA.

Łaszą się.

CZŁOWIEK.

A Pana Jezusa ty znasz?

OBŁĄKANA.

Nie znam — oj, nie znam.

CZŁOWIEK.

I któż cię karmi?

OBŁĄKANA.

(*śmieje się*).

CZŁOWIEK.

Mów!

OBŁĄKANA.

On.

CZŁOWIEK.

Jaki dobry człowiek?

OBŁĄKANA.

Nie dobry—nie człowiek.

CZŁOWIEK (*do siebie*).

Rozstrojony ten zegar wybija wciąż północ.

OBŁĄKANA.

Diad'ko—lieszy—djawoł!

(Poczyna hukać puszczyk — młode lisy skomlą jak dzieci, mgły wysunęły się z za drzew, jakby przysłuchując).

CZŁOWIEK.

Młoda jesteś, szkoda cię oddać szatanom, tobie zakwitną róże i rozmaryny.

OBŁĄKANA.

Ja stara—stara—jak ten księżyc—młodą ziemię bohaterów pomnę.

Tyś wódz był korabli—niszczyłeś miasta północy.

Ja kapłanka — patrzyłam w tarczę boga, co nocą krąży, nie znając snu—i drżałam, czytając w morzu jego wieszcze runy.

Widziałam zapalone dęby—stojąc płynęły —

wśród nich korable twoje krwią zbluzgane z podartymi żaglami —

burza rozbijała twe okręty na skałach.

Ogarnął mnie dym na stosie —

widziałam twe oczy, ćmione zemstą i rozpaczą, stałeś okuty łańcuchem—żelaźni rycerze rzezali starców i dzieci długimi mieczami —

CZŁOWIEK.

Okropne wspomnienia.

Pocóż je budzić—bezsilnym?

Chciałbym spocząć w tych dołach, patrząc w gwiazdy, które były przy narodzinach ziemi i będą na jej pogrzebie. Chciałbym się nie ocknąć, aż przed tronem Ananki, którą bym zapytał o straszny, niewyrównany rachunek ludzkiego życia.

Gdzie dążyć, skoro wszędzie przygniata nas krwawy cień krzyża?

(Słychać młody wesoły śmiech. W miejscu obłąkanej stoi Bogunka, przegląda się w leśnej kaskadzie, czesząc swe zielonkawe włosy. Księżyc oświetla ją błyskiem z za chmur).

BOGUNKA (*nuci*).

Pod jaworowe chłody
upadł pierścień do wody.
Żal Hani pierścienia,
wstyd ją zarumienia —
ptak rajski na drzewie nuci.
(Dyabeł gdacze, jak cietrzew)
Co pojrzy, to się wróci.
Ze złotych pątliczek
rozsepły się włosy,
fiałkowy letniczek
padł do nóżki bosej —
w koszulce stoi — liliami się poi.

(Słychać piekielny wrzask — dwie maszkary kudłając się wypadają z krzaków, za nimi ledwo żywy Xiądz — a dyabeł, skacząc po drzewach, biczuje go sznurem lilii wodnych).

DYABEŁ (*drzeźniąc po staroświecku*).

Na kolanko, plugawiec!

XIĄDZ.

Pokornie się poddaję radzie zbawiennej, choćby ona wyszła od dyabła. (*Klęka, dyabeł mu wylicza cięgi*).

A, stary trutniu — po lasach — noce gorące, he? nie śpi ci się — a jutro do mszy? Pana Boga będziesz na ręku piastował, a co na drzewo spojrzysz — to ci się biodra i piersi uśmiechają, i do litanii twej dyabeł podsypuje sprośne zaklęcia?!

DYABEŁ (*licząc uderzenia*).

Vermes, mus, piguis, odor, calor, pudor, horror, fetor!!

XIĄDZ.

Inter urinam et feces, inter urinam et feces nascor... inter angelos, archangelos moriar!...

BOGUNKA (*nucąc*).

Ptak rajski ją ostrzega —
do wody Hania wbiega —
rycerz w głębokiej fali

złotej się harfie żali,
pierścień do ust przytula —

XIĄDZ.

Co widzę?! waszmość tu na romansach? taka to mistyka?

DYABEŁ.

Pomni, ze czisty żiwot — to wiżej nad aniolków. Ulam czialo, jak galonzke — to bedzies mial triumf.

CZŁOWIEK.

A toż właśnie tryumf, że w ceberku lichej rzeczywistości dusza ogląda swą niezmierną piękność.

DYABEŁ.

Otstompim czie — owlada Tobom picha.

CZŁOWIEK.

Przez porównanie z Tobą, mój kretynku, widzę, że jestem podobieństwem Bożem.

XIĄDZ.

Jeśli dosłuchasz tej piosenki, utopi cię w jeziorze, lub utracisz zmysły i będziesz tulił płaczącą wierzbę.

CZŁOWIEK.

Ach, nie mąć—natura przed nami odprawia swoją mszę.

BOGUNKA.

Hanusia z toń wyskoczy —
czarne, jak ziemia, jej oczy
wodnego płaczą króla*).

CZŁOWIEK.

Krew prześwieca w opalowych wazonach jej piersi, jako gdy słońce się czerwieni.

XIĄDZ.

Już mi się w głowie mięsza. Czy tu kogo egzorcyzmować należy?

DYABEŁ.

Personam egotissimam.

XIĄDZ.

Z jednego wołu nie drzyj dwóch skór. Ale wam w takich rozmarzeniach może się byle co uroić. Ty że jesteś wilkołakiem. Ty żeś uto-

*) Parę wyrażeń ze starej szlacheckiej piosnki.

piła niemowlę—choć znam cię, dobra Agnieszko, jako nieskalaną żadnym błędem szlachciankę z mojej parafii.

DYABEŁ.

W ogrodzie melony,
za parkanem rzepa — — —

co mi dasz, abym ku zbudowaniu twych owieczek pojawił się in crudo?

XIĄDZ.

Kije!

DYABEŁ.

Qui est? c'est moi, mon père! czcij syna twego — — napisz cyrograf nie krwią, lecz zatęchłym olejem dosyć słabowitego rozsądku, a ja uczynię, że nasza kobyłka dosyć się jeszcze nawierzga.

XIĄDZ.

Słabo mi, czuję wstręt—świat mi się zjawia, jako czarne rusztowanie zbudowanego przez obłąkanych szatanów zamku. Chryste, nie omiń mnie, idąc przez piekło nędzy wszechczłowieczeństwa.

DYABEŁ.

Ale, ale! świat nie jest znów taki czarny. Jakem prałat Szelmecki — w banku mam uciułany grosz wdowi — a to czemu? bo żyję zdrowym rozsądkiem, bez egzaltacyi.

XIĄDZ.

Precz!

(Dyabeł wspina się na wierzbę i ukręca ligawkę. Xiądz zamyślony staje nad głębią jeziora. Wisielec na drzewie poczyna skrzypieć, puhacze się zlatują i jęczą złowrogo, a z podziemi wydobywa się blask zaginionego skarbu).

DYABEŁ.

Człowiecza dusza—ciemny bór
ponad bagnami—pośród gór.
Dopóki słońce grzeje was—
ach, ile woni, dźwięków, kras—
tęczują ros dyamenty—
ach, Święty, Święty, Święty!...
Ale się przedrzyj dalej w głąb,
gdy słońce już zapadnie—

wnet spotwornieje każdy zrąb —
uczujesz się gdzieś na dnie.
Cisza... kret
korzenie świerli drzewa—
flet
pastuszy w dali omdlewa.
Zajęknął puhacz, niby grób,
łopatą potrącony — —
wędrowca trup,
do mózgu mu szepcą wrony.
W haszczy tam wyje czart
i topi dziewczę w łuży—
wilczych wart
uchodząc—Jednoróg łeb wynurzy.
Gżą
czarownice,
krwawe się iskrzą
gromnice.
Krzyż—
pustelnik—jęk w celi—
Apokaliptyczny żwirz—
Dziewica—księżyc—anieli — —
hu! hu! hu!

(*Szatański śmiech trwoży Xiędza i zmusza do ucieczki; dyabeł, zmieniając ton, rzewnie*).

W noc, gdy paproci strzeli kwiat,
nastają słodkie czary—
niedźwiedź kozicy wówczas brat,
spolą się czułe pary.
Zaczarowany święci staw
rusałek zaślubiny,
a Dziw—ptak rajski, złotogław—
gędzi im byl—byliny.

(*Słychać melodyjne szmery i westchnienia, niewidzialne struny rozdźwięczają miłosnem łkaniem — błędny ogień to ożywia upiornem życiem stare czaszki drzew, to ulata, jak wniebowzięty*).

BOGUNKA.

Rozbłękitniają się przyziemne mchy i wrzosy, kwiaty się zapaliły i biegną tu do nas, jak dzieci.

Król wężów na swej złotej koronie przynosi Ci pierścień żywy, który błyskawica rodzi w ciepłym dżdżu na starych tysiącoletnich paprociach.

CZŁOWIEK.

Myśli moja, bądź jako szkarłatne kiście wschodzących promieni, jak błyskawiczne czarne węże, co zabijają ukąszeniem w czoło.

Jestem król stworzenia i prawo miłosnej nocy biorę od wszystkiego, co lata, pływa, biega, przemyka się, szeleści, szemrze i milczy.

Rozwiera się kwiecisty zacieniony aromatami odurzający wąwóz — oh, twoje włosy, pełne kropli, z których każda odbija wszechświat —

a usta twe, jak sok malin leśnych —

(*Król wężów owija drzewo paproci — i ono nagle rozbłyska jedną mieniącą się gwiazdą*).

Tu idą do mnie w pląsach bogowie, głogami i białym kwiatem kain strojni—niosą miecze i żagwie płonące, które się mienią w aleje świateł, odbitych od polerowanych tarcz.

Pochodnie zatknięto w ziemię — tarcze postawili, jak lustra, przed ogniem—stroją się i trefią, jak do bitwy.

Na powietrzu lecą ogniste, młode niedolotki smoków.

Będę je nakarmiał—o, tymi złotymi owocami, zrywam je z rajskiego drzewa twych ust, pełnych miodu.

Do mnie — dzieci meteory z nieśmiertelnych, stalą okutych smoków, co tworzą groźne władztwa w olbrzymich górach księżyca. Idą! ach, wojownicy z jeziornych grążeli. Jak białe ognie unoszą się nad głębiami bogunki. W dziupłach drzew przebłyskują lica starych bogów.

Pragnąłbym ujrzeć, co jeszcze serce ukrywa przedemną.

BOGUNKA.

Idź do mej starszej siostry, gdzie od błyskawicy płonie wieszczy dąb.

CZŁOWIEK.

W krwi mej własnej ognia mam więcej, niźli piorunów uderzyło w tę noc.

Zasiądźcie, proszę, na wzgórzach. Kto chce, może się unosić, jak Perseusz na powietrzu, dumnie potrząsając głową zwyciężonej okropności.

Kto chce, może płynąć w łódce żołędzi, za żagiel mając liść klonu, a za gwiazdę biegunową—oczy mojej kochanki. Lecz my, królowie — zwyczajem dawnym złóżmy objatę na prawiecznych granitach. Pocóż nam inne ołtarze? jak są niepożyte! ile piorunów załamało się już na tych sarkofagach!

Arcykapłana nie mamy w świątyni Wiecznej Młodości, ty bądź nim, moje dziecię.

PACHOLĘ.

Jestem synem twoim, mój wspaniały Ojcze!

CZŁOWIEK (*do bogunki*).

Tyś więc to, Hanno? Kaskady rozsrebrzyły twój głos, oczy twoje stały się złote od gwiazd, jak gdy pszczoła wtuli się między niezabudki. Biedna moja łani, serce moje.

PACHOLĘ.

Tatusiu, tam rży na lewadzie rumak. Pozwól, niech mu wskoczę na grzbiet, rękami uczepię się grzywy, i płuca mu będą grać w wściekłym tętencie po górach, i będę przepływał rzeki ogrzane, z których wychodzi mgła. W śniegach na wirchu zapalę ci ogień.

CZŁOWIEK.

Dobrze synku, wio! rzucaj się w przepaść — nad tobą i w tobie Bóg. (*Pacholę odbiega*).

Witezie—niech się rozperlą białym miodem wasze roztruhany—siostry, zanućcie mi hymn.

(*W dali zamierają gromy ostatniem miłosnem westchnieniem burzy — las brzmi starą runiczną melodyą*).

CHÓR BOGUNEK I BOGÓW.

Na zamarzłych górach —
o hej, górach!
błądzi Xiężyc smutny,
błądzi Xiężyc smutny.

W czarnem jeziorze
roztęczył pióra —
ujrzał w głębinie
córę Dadźboga.

Chmury dziewosłębią,
złotemu słońcu się kłonią —
na stu morzach — sinolodach
żyje modra śmierć Maruna.

Miłościwie kona słońce —
gwiazdy żegna — błogosławi —
modrowłosą śle Marunę
do ciemnego nieszczęść łoża.

Żyje Maruna
w zamkach nad światem —
runy jej ciemne,
harfa milcząca.

Żale jej — tęcze — w morzu toną —
myśli jej — orły — w gromach ślepną,
tchnienia jej — kwiaty — w lodach więdną,
hymny jej — gwiazdy — w piekłach gasną.

Xiężyc wziął harfę —
zmarli powstają —
w jutrzenkach kwitną
zaklęte bory.

Chodzą razem oblubieńcy
po ogrodach nad morzami.
Miodem gwiezdnym go uśpiła,
w grotach ciemnych miecz wykuła,

dziewięć czarnych ran zadała,
krew tę piła, nas poczęła —
weź nas — weź, całuj nas —
owoc rwij, w grotach śnij.

WITEŹ.

Boga zmarłego słyszę róg—
już gra w głębinie morskich fal—

CZŁOWIEK.

Już schodzi do mnie z krzyża Bóg—
serce mi zwilża święty żal—
mogiły żyją, duszę mam.

(*Do Żałobnej kapłanki, która stoi wsparta o grań ołtarza,—i, jak Madonna, świeci modremi gwiazdami w gałązkach dębu*).

CZŁOWIEK.

Mów do mnie, mogilna królewno!

ŻAŁOBNA.

Człowiecze!
nie obiecam ci ja moich ust,
ale ciemny nieszczęść grom.
Każda kropla krwi twojej wyciecze
na odludnym, zburzonym ołtarzu.
Natrafisz—palący się dom,
rozbite dziatki o próg,
starców żebrzących się psom.
A wiesz ty! gdzie Perkun-bóg?
a wiesz! gdzie z wężami Maruna?
gdzie korona twa leży?
gdzie harf zdeptanych drży struna?
gdzie słońce—umarłych rycerzy?

CZŁOWIEK.

Korzę się, Ziemio, przed tobą—
bom łzami nie rosił twych zbóż—
zaprzedałem twe łąki i bory—
odziany tęcz mych żałobą
nad głębiami mórz—
stałem w skarbach, jak król sercem chory.
Zrodzony w grudzie lepkiej
nie znałem nigdy promienia.
Jedna zima jest mi od kolebki,
jeden wilgny pocałunek Cienia.

Choćbym serce dał na twe ołtarze,
od łez słonych—ja się nie rozżarzę.

ŻAŁOBNA.

Do zniczów ognia wiecznego przyjdź.
(Nagłym błyskiem pojawia się Płanetnica).

PŁANETNICA.

Moje gwiazdy cię ubiegą.

CZŁOWIEK.

Oto dusza moja samotna i groźna,
jakiż mną wstrząsa dreszcz?

PŁANETNICA.

Powstałam z krwi twojej, gdy wspinałeś się na ostre lodowe baszty księżycowego grodu.

Królu — ojcze mój.

Czemże ci ta ziemia i ten pył borykających się błotnych robaków? Rozżarzam ogień nieśmiertelności, śpiewam pieśń głęboką i rozpaczną o narodzinach miłości i Boga. Usta moje są stygmatami, które sączą lawy najgłębszych objawień.

(Otula człowieka mgławicą Drogi mlecznej — wszystkie istoty żywe wyciągają do Niego ręce błagalnie — On się chwilę waży w rozpacznej zadumie — aż chyli się w pocałunku do ust Płanetnicy i przebija ją sztyletem.

Oślepiający błysk — tworzy się chmura czarna, najeżona igłami — oczy zielone, jak fosforyczne głębie wiru morskiego — pod huraganem skrzydeł Jej nagle zmrożony chyli się bór.

Ciemność —

błysk fioletowy — jaskinie w chmurach, śnieżne lodowce — i tam, w górze, człowiek z piersią poszarpaną i krwawą trzyma — piorun — drgającą w przedzgonie Płanetnicę — i schodzi z nią po schodach rubinowych — i kładnie ją na granitowym menhirze).

PŁANETNICA.

Wziąłeś piorun—weź i mrok:
nim cię chrzczę! gwiazd otchłanią!
a za tobą—szatan Gog!
Twoje serce się rozdarło,
twoje zboża cię poranią,
twoje gwiazdy nademną—Umarłą.

CZŁOWIEK.

Śnij, dumny bólu, tyś ma tajemnica,
z ołtarzem skuta na wiekuisty
hołd Nieznanemu. Srebrnolica,
śnij. Twe serce—w zimne prześwietl ametysty.

Idą grabarze! idą w czarnem mrowiu—
depcą kwiaty mych pól—
przygniotły mię trumny z ołowiu—
o jakiż ból—nieśmiertelny ból!...

Węże ciemne i robastwo
w gnijących żyłach moich płyną,
płomienne w łańcuchach ptastwo,
karmione ślepą dzieciną
mego serca.

Ach, rzucam krew swą w przepastne otchłanie—
ach — — wrony i kruki i kanie
tu lecą! nie orły—nie łabędzie—nie mewy!
pijcie mą krew, bagniska,
wy, czarcie zioła, trujące wyziewy—
krew moja pali—krew moja błyska—
i przebłyskują już—krzewy.

Zapalę bór—rozrzucę żar—
płonące węgle niech parzą me płuca—
wciągam tchnienia nieśmiertelnych wiar,
duch mój w otchłań się rzuca—
jak słońce—niosąc pożogę—
na nową—na najwyższą drogę.

Kto mię słucha w tej pustce wśród gwiazd?
znam was, duchy!
królowie tułacze—
a ja—czerw ziemny—wasz wódz!

Lecz mam wicher ogniowy stu płonących miast,
i zbroję skrytą pod łachy żebracze,
i wszystkie gwiazdy Weg — Erydan — Ofiuchy —
jam król — zaiste, król —
jam wódz.

ŻAŁOBNA.

Twe ciało z ziemi, twe kości z gór,
twa krew z mórz, twe myśli z obłoków —
więc pij wodę pod drzewami schnącemi,
rozsiej gwiazdy — w zgrzebny strojon wór,
unoś w niebo tabun zgniłych dusz
i daj serce pod młot — żelaznych wyroków.

CZŁOWIEK.

Dokonało się *(podpala żagwią stos ofiarny).*
(Rabin wbiega z włosem rozwianym — gnijący — straszny).

RABIN.

Już zapiał kur!
już idzie na was z kosą ślepy Mór.
Gdzie wy niesiecie te lampy z lapis lazuli?
gdzie chcecie sadzić pęki złotego kwicia?
Jehowa nie jest Bóg życia,
i widziałem Go w śmiertelnej koszuli — aj!
Jeżeli by dusza była —
ona by mnie się objawiła —
ona mi z kości przecie wychodziła —
moja Lilith, moja miła!
Nu, nie patrzcie na mnie tak litośnie,
bo ja od was nie przyjmę pociechy.
Wolę ja tych bagnisk bulgot — śmiechy —
niźli kłamstwo o niebiańskiej wiośnie.
Mojej duszy niema i nie będzie:
— — — ach, z nią ja byłbym Syjonem!
W czarodziejstw zimnym obłędzie
skaczę aż do księżyca,
palę łojówki nad słońcem zgaszonem
i śmieję się, patrząc w jej zastygłe lica.

Nu, te wasze świątynie młodości
ja wam do czuba oświecę
próchnem robaczywej kości.
Nu, ja z wami też polecę—
i robakiem bedę waszych żył,
i krew będę chłeptał—i krew będę pił—
Witezie, włodyki, kapłany—
dziś żebracy—dawniej pany—
ja, wnuk Jankla—będę na cymbałkach
grał wam tę nową pieśń o nędzy i pałkach—
boście są naród ciemny, jak my—zgubiony, jak my,
a głupszy od nas!

CZŁOWIEK WÓDZ.

Zdjąć mu ten siwy łeb i rzucić pod stopy, by konwulsyą nóg swych myśl własną zadeptał.

Kadłub w grobie przybić kołem osiny, aby z grobu nie wychodził upiór.

Ręce mu obciąć i spalić, i popiół rozsypać na wietrze za winę, że się wyparły swego dzieła: Piramid—Syjonu—i Krzyża.

Nędzarz ten miał orane plecy batogiem przez czterdzieści tysięcy lat księżycowych—i teraz chce przerażać wolnych, co idą ku śmierci.

Precz go!

(Witezie prowadzą Rabina, którego szat nagle się uczepia Błędny ogień Lilith).

LILITH.

Ojca mego nie przykuj do grobu—mnie weź—będę ci służyła.

CZŁOWIEK WÓDZ.

Swiat umrze dziś z mojej ręki, lub się przeobrazi w sen wieszczy z lodów i ognia.

Miłość otworzyła mi wszystkie Sezamy—chcę mocy, któraby mi objawiła wszystkie szczyty męczarń.

Na co?

Tak żądam—i wolę mą zawieszam nad sobą, jak obrócony ku memu sercu ostry kamienny miecz.

(Do witeziów) Kto się chwilę zaważy nad spełnieniem słowa mojego, lub gestu—tego strącę napowrót w błotną rzekę Kocytu.

ŻAŁOBNA.

Stawszy się bohaterem, pragniesz zburzyć tablice świata, jak Demon?

CZŁOWIEK WÓDZ.

O nędzna! gdzie są szczyty gór tak ogromne, abym — na krzyżu rozpiąwszy moją duszę nieśmiertelną — nie wgniótł ich aż w czeluść piekieł? (*Klęka przed sarkofagiem Płanetnicy*).

W sercu, gdzie łka
błyskawicowy wąż —
radość ma
zgaszona jest.
I tak wciąż
zapadam w otchłań ciemną:
postać twa
żyje na wieki zemną.

Królestwo zórz,
katedry skał —
błękitnych mórz
ciche przelśnienia — —
ale już
milknie szał,
w ziemi śnią
zwiędłe wspomnienia.

Ukląkłbym
u twoich stóp,
odjąłbym
kamień z grobowca —
zimny trup
całowałbym —
idę w dal —
dusz ludzkich łowca.

(Schyla się do ziemi, gdzie płoną pochodnie — jakby pił ogień — powstaje i prześwietlony idzie ku Borom. Za nim Witezie, niosąc tarcze i zapalone smolne żagwie. Bogunki korowodem uroczystym obchodzą ołtarz, gdzie śni Płanetnica, i na swoich małych harfach gędzą:)

BOGUNKI.

Kwiaty będą lamentować,
roski będą w grób się chować,
wierzby siwe będą szlochać
i kamienie poczną kochać.
Haj, haj—fletku graj—
zapaliły gwiazdy gaj—
idą—idą—stare drzewa—
idzie sobie bór i śpiewa.
Grom—trzask—wielki huk—
złamał się tysiączny buk—
złamała się brzózka młoda—
nic nie szkoda—nic nie szkoda!
Bór się pali, bór się smali,
serce moje się kryształi—
nim się serce me okrzemnie,
jeszcze jeden piorun we mnie!

(*Wchodzi Hapun, udający Ajtwarosa, inkuba, nagabującego panny. W ręku trzyma grzyb, tak zwany Phallus impudicus*).

HAPUN AJTWAROS.

Puk—puk—kto tam? swój.
Jak się macie, świętochny? Co widzę?
— — — ołtarze, popioły?
czuję w powietrzu—karczochy!
ach—pasterki, ach—lube, ach—szlochy!
pewno pasterz was uwiódł wesoły?
wszystko dał nam Figiel ku zabawie—
wasz klin żalu—ja klinem poprawię.

Tak jest! ile będę mógł—będę wam osładzał. Możecie mnie pieścić z należytą czcią dla wieku. Niema posągu na waszym ołtarzyku? już jest.

(*Wskakuje na mały głaz i sterczy na kulawej nodze, jak czapla*).

Natura—gorąca pierś—coś, czego się nie wie, a co wzbiera—ach, rozumiem to! musicie czcić. A co? to mniejsza. Czy to nazwiecie raudonikami, sterczącymi na mokrej ziemi, czy śpiącą w lubieżnych snach gromadą Satyrów—którzy się prawie całkiem zakopali pod liście—to zawsze, zawsze będę ja—wasz pra-pra-Praił.

Zbierajcie mnie, zbierajcie — która będzie miała więcej — ta się pochlubi przed swą mamą Lietuwiszką*), przed ciotunią Dapiumene**) i przed dziadkiem Pikajłem***).

(Bogunki rozbawione przysmalają go pochodniami, on baraszkując — uwodzi je od Ołtarza ku gęstwinom.

Robi się mroczno, mgły przygniatają, zdaleka ozywa się jęk — krzyk rozpaczliwy kogoś, co się broni — śmiechy i rżenia.

Po niciach tęczującej pajęczyny nad grobowcem, gdzie śni Płanetnica — sunie Hapun — pająk z pazurami — oczy jego świecą, jak szmaragdy tarantuli — trujące haczyki występują kroplami jadu nad pyskiem.

Płanetnica zwolna powstaje i, nie mogąc przyjść do siebie, szepce w półśnie:)

PŁANETNICA.

Oślepił mię ogień miłości
i mego serca anioły
zamknął na wieki w pomroce.
Ach, kołem losów zatargam,
przyśpieszę obrót sfer,
dusze bezliczne w grób strącę,
zamrożę wody życia,
liśćmi usypię wąwozy—
lecz on—nie będzie już mój.

GŁOSY BŁĘDNYCH OGNI.

Ja tu—idę—nasycisz się mną—ja tobą.

(Hapun trwożnie się rozglądając—nagle się rzuca na płanetnicę—tłumi jej krzyk—oplątuje siećmi—chwyta w łapy kosmate i z przerażającą szybkością unosi lecąc po rozpostartej pajęczynie.

Z mroku przebłyskuje księżyc — na sierpie widać Królowę Gwiazdy Zarannej, która gładzi włosy płaczącej Lilith).

GWIAZDA ZARANNA.

Dzieweczko, wypiłaś napój trujący przez szał dla mego rycerza, który się zabłąkał w lesie Rozpaczy i Miłości. Weź ten maleńki szafirek —

---

*) Bogini wolności i roskoszy.

**) Ukończenie żniw.

***) Bóg piekielnych mąk.

niech go położy za kamień węgielny do mojej świątyni—to jest talizman tęsknoty mojej, gdy byłam samotna na ziemi.

Słyszałam tu jęk.

LILITH.

Mego ojca kołem osinowym przybili do trumny, aby nigdy upiór jego nie powstał.

Niedobrzy są ludzie żyjący, żałowali mu trochę tej krwi, którą wypił z każdego serca, czyniąc je bledszem.

GWIAZDA ZARANNA.

Otrząśnij mu nad skronią kwiatuszki zwane od moich łez*)—a obudzi się dawnym patryarchą, jak gdy ugaszczał Jehowę w namiocie.

Ta sieć drga—po niej prześlizgnął się szatan.

Każ mu, aby wszystkie ofiary swe uwielbił tej nocy dla Imienia mojego.

LILITH.

Już idę, królowo gwiaździstych otchłani, która mi się pozwalasz nazywać moją Mamą.

GWIAZDA ZARANNA.

Pokój tym, co walczą w mroku, aby mieczami nakrzesać iskier, bo świętym jest wszelki Ogień.

(*Cicho znika za wierzchołkami drzew — zostaje po Niej modry blask*).

. . . .

(d. n.) *Tadeusz Miciński.*

---

*) Białe polne storczyki.

Noc rabinowa.

II*).

Mrok. Z mogiły wychodzi upiór Lilith i w śpiżowy na wpół ziemią zarosły dzwon wybija północ.

LILITH.

W imię Nieśmiertelnego! budzą się otchłanie. Błogosławią gwiazdy wam. My zmarli płaczemy w katuszy, w rozdarciu. I sypią na nas drzewa uwiędłe igły. Przygnieceni ziemią i kośćmi, wzdychamy—jęczymy do Ciebie—do Ciebie, nieznana nam z imienia. *(Kryje się)*

(błędne ognie cicho skacząc na jednej nodze oświecają Rabina, który stoi u lodozwału wśród dzikiej tysiącletniej puszczy.)

RABIN.

Minęło—ja nie wiem—
może iskra,
może pożar wieków,
gdy stoję przed górą lodową.

---

*) Akcya *części pierwszej*, którą gdy wola, można uważać za *akt pierwszy*, rozgałęziła się w dwu kierunkach równocześnie. Jedna gałąź szła przez akty drukowane ostatnio (porówn. zeszyty; *Ateneum*), druga, w sferę zaziemską rosnąca, snuje się przez część niniejszą, która jest w ten sposób niby aktem IV i zarazem IIb (przyp. red.)

Nie śmiem zapukać—
może tam Lilith jest,
może tam Cyjan lśni?
nie śmiem wejść—marznę tu—
w lodach błotnych
modląc się, łkam.
Kto nad nami—ulżyj nam!

(Rozsuwa się lodozwał i widać otchłań mroczną, zapełnioną migotem skrzydeł — zielenią rajskich drzew—wychodzą w szatach szafirowych z gwiazdami 9 patryarchów.

ADAM.

Zamknąłem w kwiat migdału
me rajskie sny.
Dwoje skrzydlatych aniołów—
młodzian — dziewica,
dopóki ziemia nie zgaśnie
będę Mu ofiarować.

JAKÓB.

Zbutwiał już tron z lazuru,
demony schodzą
tu w grzęźl.

IZAAK.

Ojcowie, czemu nam smutno?
oto już Bóg nie pragnie synów naszych.

ABRAHAM.

Te gwiazdy niegdyś wchodziły do mego namiotu
jak moje piękne córy.
Dziś mi są obce i zamarzłe.

ELIASZ.

Jam wstrząsał królów majestatem,
a teraz płaczę—gdy gromada dzieci
biegnie pozamną, naśmiewując: żydek!

HENOCH.

Kiedy mię gwiazda magów
powiodła w kraj wieczności—

brama się sama ozwarła
w alei ciemnych sykomor.
Kwitnące drzewo życia
jarzyło się płomieniami—

(z płaszcza wysypują mu się nagle świecące jabłka—z grobów jak nadeptana harfa rozbrzmiewają jęki i błagania—suche badyle rąk zakwitają gwiazdami).

MOJŻESZ.

Litość jest wyższa nad zakon.
Dla ciebie wymażę piąte z mych nakazów!

RABIN.

Nie rozdawajcie gwiazd!
o, niechaj zginie nasienie Boga.
Niech umrze ogień,
co się zapala przez tarcie—
niech zgaśnie zadeptany
w dolinie mrocznej zgonu.
Wypiłem puhar krzywd,
mętów i pohańbienia—
i chcę go rozbić—
wołając: Szatan, Szatan!
Przyjdę na grób mego ojca
w tę noc, gdy lampy są na grobach,
i bluźniąc
będę mu miotał skorpiony.

HENOCH.

O Jah Jahwe Sebaoth — czarne otchłanie opieczętowałeś liczbą gwiazd.

SALOMON.

Szedłem po utajonych ścieżkach mądrości i każda z nich powiodła mię do grobu.

HENOCH.

Ale On Święty utworzył w dwójcy niebo — i w trójcy wodę i w czwórce ogień z wody—i z ognia wyrzeźbił swój tron, swych Ofanim i Serafim, święte zwierzęta i posługujące anioły.

Tak stworzył z nicości istnienie i wzniósł
z nieujętego eteru wielkie kolumny.

SALOMON.

Dziesięć ich jest—i nie mają bytu.
Dziesięć—i nie dziewięć.
Dziesięć—i nie jedenaście.

PATRYARCHOWIE.

O chwała świętemu, chwała żyjącemu!

RABIN.

Przekleństwo jemu z moich dziesiąci palców.
Ja wiem—ja wszystko wiem. Dwa kamienie budują dwa domy, trzy kamienie budują sześć domów, cztery kamienie budują dwadzieścia cztery domów, pięć kamieni budują sto dwadzieścia domów, sześć kamienią buduj siedemset dwadzieścia domów.

HENOCH.

Ale nie wiesz—że Abraham, nasz ojciec — pokój niech pozostaje z Nim—on badał, patrzył, pojął,—i uwierzył Jehowie—i On go wziął na łono — i odkrył mu tajemnicę — której kazał płynąć w wodzie, płonąć w ogniu, dąć na wichrze—świecić w siedmi gwiazdach i krążyć w dwunastu zodyakach. A gdy przyszedł Mesyasz—to ze śliny tworzył światło.

DAWID.

Rabinie, widziałem cię, gdyś konia smagał batogiem. On był chudy i jadł słomę z przegniłego dachu. W domie twym nie było kwiatka, jaskółka uwiła gniazdo, a bachory ją zalepili gliną i ona w ciemności uschła jak badylek.

RABIN.

Na co mi kwiat? na co jaskółka?

DAWID.

Trawki się żalą, że je oglądasz przy lampie srebrników.

RABIN.

Czemuś tak litościwy? czy nie ty król — przepiłowałeś pobity naród drewnianemi piłami?

Córę mą—
kwiatek mój

poświęciłem panu, jak Gideon.
Przyszedł jeden pies Chrystusa
i ukąsił ją ogniem palącym
i wprowadził do zamku Chimery.
Potem drugi pies Hapuna
obezcześcił łono jej
z przyjaciołmi na uczcie —
i umarły wszystkie pokolenia,
co miały iść ze mnie
grając i trąbiąc, aby się wzniosły
mury Jeruszalaim.
Proszę was, dobrzy ojcowie,
uczyńcie mię przewoźnikiem
na tej mroźnej rzece, która oddziela od życia.
Tu spotkam mordercę mej Lilith —
kłamcę i gwałciciela.
I nie uczynię mu żadnej rany,
ani mu serce wygryzę zębami,
tylko mu powiem: noc ciemna, jasny Panie!
Za arendę tego promu,
ja, który byłem cadykiem
świętym i dobrym żydem,
ofiaruję swe miejsce na wieczerzy —
i niech łotr lub nawet goim
nad mym kielichem odmówi Hedalę.*)

(*Zawierucha dzwoniącego gradu i w niej ciemnymi piorunami poryty tułacz.*)

PATRYARCHOWIE.

O, serca nasze jakby się zamknęły w żelaznej skrzyni — taki okropny wieje mrok od tego upiora.

AHASWER.

On pójdzie ze mną i na Nowej Zemli odczyta krzyże i zaklęcia kabalistyczne, którem ja wyrył w grocie nad wyjącym Oceanem, kiedy księżyc czarne cienie rzuca od fjordów.

---

*) Modlitwa podczas sabatu.

I tu ujrzałem ich:

Urakabarameel, pierwszy wódz buntu. Ahimelech, ojciec mordu i żelaznych wieżyc. Tamiel, czarodziej grający na sferach zodyaku. Belfegor, co pożera ogniem czarnym niezniszczalnym.

Tysiąc razy odmieniałem rachunek i wciąż potwierdzał się wyrok gwiazd, że duchem największym na ziemi był Emanuel.

PATRYARCHOWIE.

Chwała świętemu, chwała żyjącemu!

AHASWER.

Na lodowej krze wśród wyjącego wiru w łunach zorzy —

GŁOS Z ZA RZEKI.

Przewieź!

RABIN.

To głos Belzebuba—on mi da sprawiedliwość.

(szybko zbiega z góry i znika).]

(Ahaswer kreśli krywulą znak kabalistyczny na śniegu i odchodzi—Patryarchowie stoją w niemym podziwie.)

HENOCH.

On był jutro—i on będzie wczora.

GŁOS LEŚNEJ MATKI.

Przyjdź tu burza z leśnego jeziora!

(Z prawiecznej chałupy, porosłej zamiast mchu jodłami, wypełza Leśna Matka czarna od rozpuklin, krwawa od narośli, w fałdach pod czołem jarzą się magnetyczne zimne i okrutne oczy sowy. Stacza się po kaskadzie, która cieknie z dachu, garściami wody nagle się zapalającej od dotknięcia jej wykoszlawionych korzeniastych palców rzuca uroki, wijąc się w wężowych podrygach.)

LEŚNA MATKA.

W imię Rzyci
zmieniam was
w czarcie łajno, w ciemny głaz!

Kici—cici—kici!
(za łańcuszek ciągnie czarnego karła w krasnym kapturze na czterech łapach).

Słyszy, ducku, ty mi graj—niech becą zubry, niech rycą jelony, a słowików jak szysek nasyp w ten gaj i w czarną jesienią niech się zda zielony.

Caruję martwą wodą—nasieniem konopi i tem zielem, co uśpionych truje—ogniem zimnym, co na bagnach topi, mnę—i ścinam te krwawe leluje! Anioły
niech mi tu nie śmią chodzować, tej nocki będę Połoza w grób chować a nad świtem zamienię tę puszcę w popioły.

ADAM.

(wychodzi z za drzewa)

Raj przypomnij matko Hewo,
gdzie kaskady zazdrościły ci śmiechu—
a jeziora górskie twoich źrenic.
Teraz ty—zmieniona w śmierci drzewo—
płodzisz z wężem struty popiół grzechu.

LEŚNA MATKA.

Ej staruszku, ejże—czy nie Jadam?

ADAM.

Hewo!

LEŚNA MATKA.

Króluj ze mną, bardzo radam.
Tu książęctwo jest żółwi i raków,
szuhaleja *) płynie wśród wężarów
śpiew knihi, łożniuchy, bącaków — **)
a w czerotach ***) brzęcy słup komarów.
Wiûn ****) łańcuchem przybity do mosta,
czaski końskie przed chałupmi złodziejów!
i strasący w studni pan starosta
i monastyr nasych dobrodziejów!

(ukazuje na Łysą Górę.)

---

*) łódź **) ptastwo wodne
***)—oczerety
****) piskorz

Był tu jeden kometa bez nogi.—

ADAM.

Do bram piekła prowadzą twe drogi.

(*wściekła bije ożogiem o skałę, która go ukryła. Woła na księżyc*).

LEŚNA MATKA.

Chodź tu, Worniu lizdaj *) — trupie gniazdo —

(*Xsiężyc—nad mroczną głębiną—wśród rozchylonych skał—biegnie, roztrącając chmury — nizki kwadratowy—niewyraźny—z upiornie jarzącą się czaszką*).

Znajdzie mnie płanetny kwiat—
w swaty śle słońcowy gad—
jako tligo, jako gzi—
ze się wściekł, jak carodzij—
jaz ze złości niebo drze—
całą Jurę **) wylał w dżdże.

(*Xiężyc uchwyciwszy biały nenufar chmury, rozchyla go i wśród różowych zasłon widac budzącą się Płanetnicę*).

PŁANETNICA.

(*mówi w półśnie*).

Nad czarną wodą— w srebrnych mgłach—
wzniósł się różany serca gmach.
W wichrowej nocy wieszczy kruk
uderzył w drzwi w spiżowe—stuk—
I głucho pękły kraty bron,
na koniu wjeżdża Rycerz Zgon.
Pójdź w moje łoże, czemu strach?
ogniami piekieł błysnął gmach.

LEŚNA MATKA.

Zbudź się—to chata—zbudź.

---

*) dos. Krucze gniazdo **) Morzem.

PŁANETNICA.

(schodząc ociężale i smutno z chmury na ziemię).

Z duchów uwita ma szata,
z żywiołów zebrałam moce
i wstrząsa mną suchy płomień
tej żądzy, co pędziła anhelice
w mgieł zawierusze na rozstajne drogi.

LEŚNA MATKA.

A tom rada! Chmurnik złotorogi
chce Cię wziąć za jałowicę.
(ryk grzmotu).
Nic się nie wstydź—lagnij naga—
z wichrem polnym on się zmaga—

PŁANETNICA.

Smierć temu siną błyskawicą
kto przyjdzie spojrzeć w moje lico.

LEŚNA MATKA.

Jak wiór w kominie usknie twoje życie.

XIĘŻYC.

Macocho, powiem. W złocistej karycie
gryfy ją niosły i tęczowe pawie.
Wtem znikła w gąszczu, nieopodal karczmy.
Stuknąłem w jamę węża domowego—
„żalcziun karalus*)" pytam, gdzie jest Dejwa? **)
A ten mi syka, jakby go odparli
Księżna warząchwią od koziego mleka.
Wślizgłem się w jezioro
w pałac z bursztynu, gdzie przędą boginki
koszule życia przy czarnych gromnicach.
Jezioro w gniewie brzeg zalewa łzami,

---

*) Królu wężów. **) bogini.

w pałacach cisza. Więc lezę do Worni
pytać dewotek, co schną przy kabale,
romans czytając, nucą gorzkie żale.
Lecz na zagadkę, gdzie pociecha Jony,
nos opuściły, wstydem zrubiniony.
Wtedym zapalił trójwężową świcę
ujrzałem w dębach bogów starych lice.
—Mocarze, mówię—chcąc się przypodobać.—
stary kometa, zwany Uodegitą,
jak wiecie często pozierał do Jony—

LEŚNA MATKA.

Zamilcz, młokosie.

XIĘŻYC.

Za gwiazd konduitą
padła tak w ciemność, że nie wiedzą w Worni,
w Hłusku, ni w Lalach—li tylko w Rosieniach,
gdzie jest magazyn strojów Madeleny,
umiano rzec mi, że sprawiła treny,
szenszyle, koki, ślubne atłembasy
i furmanowi rzekła: jedź na lasy.
O bogi węże, szperajcie pod ziemią,
w starych ruinach, lub gdzie Kaukie *) drzemią.
A wtedy syknął jeden zaskron w łuży—
„chłopcy na taniec się zeszli Giaguży **)“
mówiąc to, łykał myszę bystrogoną,
co piskła mdlejąc: zjadasz urodzoną
z krwi lazurowej wieszcza, gdy mu raje
otwarła w karczmie Płane—

LEŚNA MATKA.

To ambaje—
kłamstwa, pakuły, które ty kuglarzu,
tańczący między kopą jaj—zjesz dorazu!
(*zapalonym ożogiem godzi w xiężyc*).

PŁANETNICA.

Matko, przysięgam na miłość Alcisa—

*) Karzełki duże jak palec. **) Taniec kukułki.

LEŚNA MATKA.

Mów, podglądaczu, a potem ta misa—

XIĘŻYC.

—lub płanetnicy haftowana strzała
niech mnie zagasi. Boleść we mnie drżała,
wstyd mi się spiętrzał, gdym przy szabasówce
ujrzał wisielca Rabina i hufce
szatanów—i wieszcza—i tę różaną
co mi błysnęła jak zorza—pijaną!!

LEŚNA MATKA.

Twa szabasówka łże.

(*milczenie długie*).

PŁANETNICA.

Niechaj wykuje z modrych meteorów
pierścienie ślubne kowal Jökkulsjoke,
kuźnicą jego wulkan, co sypie w zatokę
ciemnego fjordu iskry. Z władcą borów,
chmur, oceanów, nieba i Gehenny—

LEŚNA MATKA.

(*Z radością*).

Także mi praw! dyabeł cię prze za małżonkę?

PŁANETNICA.

Poeta!

LEŚNA MATKA.

(*hamując się.*)

Widzisz tę śmierdzonkę—ten chlew—to ciało?

PŁANETNICA.

Wolę stos płomienny.

LEŚNA MATKA.

Tyś nie kołdunja! dla cię to za dobre.

PŁANETNICA.

Królewny indyjskiej kształt wezmę i kobrę *) nad girlandami włosów.

*) Jadowity wąż.

LEŚNA MATKA.

Trup murzynki,
żebracze szmaty i na łeb zaskrońce—
taką cię zlubi—to mnie zlubi słońce—
i jeszce w kruchcie trzy zmówię godzinki.
(*do xiężyca*) Zrygluj odrynę—a mi jej nie pusknij, bobym cię zamkła w piastę *) (*do płanetnicy*)
A ty usknij.

(*wychodzi*).

PŁANETNICA.

Nie mów, że jestem córą czarownicy,
gdyżby się uląkł mych zimnych uściśnień.
Tu przy wężowej on stanie gromnicy—
(jak leci krwawo ten uwiędły liścień).
Byłeś xiężycu nieśmiertelnym bogiem,
zanim cię matka ma zmieniła w karła.
Prowadź mię z sobą umarłym rozłogiem,
abym o kamień czoło swe oparła,
śniąc —że to miłość.

(*Xiężyc chlipie*).

XIĘŻYC.

Cioty boję —
chodź do odryny — zdejmij zbroję

(*prowadzi ją i zamyka w chatce na siano*).

A tu Ci wtykam białe nenufary —
gryź! tu główki maku — śnij. Na promie
jadą duszyczki, co Hapun zapędza.
Dobranoc — słyszysz, jak grają ogary,
jak skrzypią drzewa. Już poczyna czary
rzucać na puszczę twoja matsia jędza.
Czemum Cię zdradził? (*zagląda*).
śpi kotek na słomie.

(*Wicher wyje: ü — ü — ü — — żelaznemi skrzydłami bije o dach — trzaska w drzwi, rozchyla okna i stuka po ścianach, łamie drzewa, wylatuje w tany i skręca się jak rażony nożem w serce — zawodzi jękliwie – ryczy — porywa Xiężyc i rzuca go w chmury*).

---

*) wnętrze koła.

(*Nagły tworzy się blask w odrynie — przez chruściane zatyczki bije łuna, do Płanetnicy schodzą się dusze kwiatów*).

PŁANETNICA.

O kwiaty złote me,
najświętsze wy,
ukochane!
Niedola was tu gnie
i mnie — i mnie.
I sama nie wiem co —
— mrok,
pełen lecących gwiazd
nad błotną czarną ziemią —
— o biedne kwiatki me —
skoszone zimnym dżdżem
o wiosno zbłąkana w tę noc—
gdy liść opada od ziejących ogni—
chodź — tul się tu, do serca mego — blada —
tu siedem gwiazd
rozżarzę.
Wy dzikie róże, śnijcie o majowej nocy —
narcyzy — przemieńcie się w białych rycerzy —
o habry, moi braciszkowie —
konwalie — święte mniszeczki zbłąkane —
nie strząsajcie na mnie swych łez.

(*płacze*).

— Tak mi jest
jako ciemnej chmurze,
gdy leci w dal
i wicher ją słania —
z górnych cest*),
z zielonych hal

*) ścieżek.

niosę w purpurze
widmo kochania.

(słychać cichą, a potem rosnącą melodyę — chóry moczarów zdają się ulatywać ku niebu).

RAGANY

(zielonowłose wychodzą z drzew, zasłuchane w melodyi — która niemi wstrząsa).

Zielony szumi bór — szumi —
idziemy po wrzosach nóżkami bosemi —
szumi bór.
Czemu ona płacze? królestwo ma całego nieba.
Nie mówmy. Całują nas chmury,
błyskawice zapadły w łono nasze,
pocałunki spływają po zielonych włosach do czarnej ziemi.

(Płanetnica wystawiając rękę zbiera deszcz przy lśnieniu krwawych łyskawic — puhacz się ozywa — i bór stęka — i wiatr i jakieś dzwony przygrzebane.

PŁANETNICA.

Z górnych prądów zbieram Cię—
z miesta umarłych wzywam Cię—
w łyskaniu, w gromach, w męce mej.
Z kudłem zielonym Ragany przydźcie tu,
w bukach, w dębach, w jaworach zbądźcie snu.
Dziewy—żony z pierśmi jako lochy w koszulinach z lnu,
wlokąc rude włosy, siejąc mogił prochy, służąc złu.
Zapłotniki, latawce i złe roczki — przydźcie tu,
wy rogate dzieci, wy zajęczo-oczki w czarnym dżdżu.
Te, co doją mleko czarownice z dzwonów w płacznym tchu,
strygi i krostacze, śnieć — zaraza plonów—zrosłych w pniu —
rusałki, co wabią młodych Eolionów tam ku dnu.
Ty połozie królu, co pływasz po ziemi w zimnie mchu,
co uwiodłeś Hewę z duszmi bezlicznemi w rajskim krzu —

— — —

Ta żaba, co się tu porusza —
To dusza!
i piorun, co skałę rozkrusza—
to dusza.

Z ogrójców Syryuszowych przynieście złoto —
niechaj się gwiazdy z cierniami zaplotą.
Żegnam krzyżem z czterech rąk i czterech nóg—
wichr piekielny niesie szlakami bez dróg.
Niech się jeszcze ozwą — taki kładnę mus —
wszystkie głosy boru, co uwięził mróz.

Kamieniami — cmentarzami — pustami — borami — podziemnymi lochami — trumnami —kościołami, mój kochanku wyśniony nad gwiazdami —nad Tatrami — nad morzami —przyjdź że tu!

W czarnych odmętach błyskają światełka — płynie korab — z okien wyzierają twarze. Korab zatrzymuje się wśród skał i wychodzą Rabin, jako Charon, Xiądz popędzający wicią jarzębinową Hapuna—posępny zadumany Poeta i wiedźmy nagie w czarnych kapach dźwigają lampy z trupich czaszek.

XIĄDZ (*do siebie*).

A uważaj Kapistranie, nie uderz go ino raz, bo gdy go bić, to się obróci i nas pożre.

(głośno).

Więc to Szatrya? dwanaście kościołów stąd można obejrzyć.
— hej! czy to nie złote kopuły?

HAPUN.

(wskazując wiedźmy).

Dolatuje woń assa-foetidy, — to nasze lilie.
Oto dziesięć panien mądrych, więcej się nie znalazło w tym zachrześcianionym kraju.

WIEDŹMY.

Zbierajmy liście suche — wetkniemy je do chat sąsiadkom, aby poschły.

RABIN. (*w wielkim lęku ozierając się na Hapuna nadrabia miną*).

Błogosławiony Pan, co utworzył światło.

XIĄDZ *(do siebie).*

Dyabeł ma też świécę w mózgu.

HAPUN.

Chwalmy słońce, gdy zgaśnie, a dziewicę nazajutrz po weselu.

RABIN.

Grób jest jak stół obrzezania.

HAPUN.

Ale mądrość jest jak stracony wielbłąd wierzącego.

RABIN.

Pobożny jest wzięty za grzechy wieku.

HAPUN.

Najwięcej trzeszczą w ogniu ciernie i tak się chwalą jak słodkie oliwki.

RABIN.

Do osy mówię: ani Twego miodu, ani Twego żądła.

HAPUN.

Nie powiesiłby się rabin, gdyby wrogowi nie chciał uczynić na złość.

RABIN.

Nie uderzy się człowiek w mały palec, jeśli go z nieba na to nie zawołają.

HAPUN.

Chłop choć się stanie królem, to jeszcze mu kosz nie zejdzie z pleców.

RABIN.

Gdy dmuchasz na węgiel, to się rozżarzy.

HAPUN.

Gdy napluję — to zgaśnie.

RABIN.

Świat się nie może obejść bez perfumiarza i bez garbarza*).

HAPUN.

Tak mówił Rebe, przemieniwszy córę w osła i jadąc na niej na jarmark.

XIĄDZ.

Abu tabu, obaj równi, jak żydzi po spaleniu.

HAPUN.

Nie jest tak źle,

(kopie nogą w skałę i ukazuje się grota pełna klejnotów, do których jeszcze przyczepione są łachmany i szkielety. Narzędzia magii czarnej, miecze, kandelabry, lustra, misy rytuálne, kielichy z czarną hostyą — złoto jak lawina zamarzła).

Ta jaskinia pełna jest alchemicznego złota, których jest dwa. Jest aureum positivum, które się kopie — i aureum sublimum — tak wysubtelnione, że dwudziestu czterech żydów daje go zaledwo jeden łut. Są tu elixiry szczęścia do kobiet, wody ze źródełka na wyspie marzeń — oraz traktaty uczone o tem, skąd powstały katoblepsy*). Chodź Rabinku, będziemy Cię grzać.

RABIN *(dobywając pieniędzy, błagalnie).*

Loz mech noch kidysz machen yber dem heiligen Wan. Na dir derfalt Gelt**).

ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ ꕤ

HAPUN.

Gajszon, a sztyl. Muszę Cię wykuksać jak Szoner głupiego Ickunia. Pomnij, co mówi wenecki Talmud: dobrze jest zabić poganina i bardzo dobrze jest zabić poganina. *(wychodzą).*

XIĄDZ.

Lamie, pytony widzę, a wszeteczne muchy
z zakonnicami czynią bezwstyd pod drzewem Chrystusa***).
Tam siedzi Mormo, tu kica Beffana,

---

*) Przysłowia żydowskie. *) Patrzący w dół, potwory z mitol. greckiej.

**) Pozwól mi zrobić ofiarę nad świętem winem. Masz za to pieniądze. (*Z piosenki żydowskiej).*

***) Z obrazu średniowiecznego.

Honorii tertii papae widzę Pandaemonium*).
O zbaw mnie Maryo, albo niech użyję
w Sodomie świata, bo któż wie, człowieczy
duch zali idzie w górę — bydlęcy do ziemi?

(Czarownice tańczą dokoła kotła i z trumien wytrząsają zgnilizny. Nacierają się m aściami, romansują z dyabłem, co ma kapelusz z paznogci i podpiera się laseczką).

WIEDŹMA I.

Wilcy śpiewają.

WIEDŹMA II.

Rogaty na skrzypcach gra.

WIEDŹMA III.

Rogate dzieci widziałam — wyżej najwyższych lasów lecieli.

XIĄDZ.

Ty zastarzała czarownico, nosisz piątna dyabelskie, od nieprzyjaciela dusznego cale opanowana.

WIEDŹMA.

A tyś mi kosteczki powyciągał na żelaznej kobyle, a potem spalił. Aj, bóle przecudne męczą mnie, ręce od plec i nogi od kolan mam siniekrwawe, zmęczone.

XIĄDZ.

Z takowych jawnych dowodów i zeznaków uznałem was, żeście bojaźni Bożej i Twórcy swego odstąpili. Ty Kościukowa ciałko dziecięcia nierządnie spłodzonego cały tydzień w dymie ciepłym suszywszy, pochowałaś, a potem wygrzebłszy z jamy — w ogrodzie sąsiadki kości te rozsypałaś**).

WIEDŹMA I.

Na jedno oko nie widzisz, i na drugie olśniesz.

---

*) Honoryusz III był uważany za czarodzieja.
**) Z dawnych aktów sądowych.

WIEDŹMA II.

Przy lasce mojej szeląg i nici lazurowe, żuki warzyłam, hostią do chustki z ust wyjęłam, z iskrami tu leciałam i goła chodzę.

XIĄDZ *(do zakonnic).*

A siostrunie jakąż koleją?

ZAKONNICE.

Nas, panny zakonne, podczas nocnej mszy powołał blady młodzian. — Ja w myśli Xiędza do bestyi przyrównałam *(chichocą histerycznie).*

(Chłop i baba skradają się).

CHŁOP.

Cichaj, bo morówki usłyszą.

BABA.

Można złych duchów nakupić u niemców w Kłajpedzie. Ja dzień cały ser w gębie nosiłam.

CHŁOP.

Głupiaś, to na Wielgi Czwartek.

BABA.

Zerknęłam przez dziurę sękową od trumny, a tu widzę jak wiedźmy z Xiędzem warzą trupa.

CHŁOP.

Czemuśwa rabinowi nie odcięli głowy? Padł na ziem, i stała się przeklęta. Otwartemi oczyma urzekł tę nockę. *(przechodzą).*

(Poeta cicho poczyna grać na kryształowym flecie — schodzą się zwierzęta leśne, orły, którym się dziób zakrzywił od starości i pióra wyliniały, jelenie, w rui splątane rogami, potworna żaba przepuknięta od kamienia).

POETA.

Łaszą się do mnie te czarne niedźwiedzie,
które wypędził z puszczy huk tartaku,
i sarny klękają do mych nóg. O, smutek borów,
śmierć wyciąga do mnie ręce przez te drzewa,

sowy łypią ślepiami żółtemi.
Zgniły zapach grobu wsącza się w moją pierś —
jak ptak przed wzrokiem węża niemieję w bezmocy.
Ja nie mam miecza, ażeby was bronić —
i zamku nie mam, oprócz urojenia —
i puszczy innej nad tę, gdzie jest Obłęd.

WIEDŹMY.

Djabeł cudnie będzie grał —
wicher złote liście zwiał.

WIŁA (*z kołczanem i strzałami mierzy z łuku w Poetę*).

Panicz w smutku bardzo miły —
chodź do Wiły.
Wiła piękne ma zagadki —
zdejmij szatki.
Wiła ostre nosi strzały —
jaki biały.
Gdy nie zgadniesz — grot ci wbiję,
ach —lelije!

(*gdzie stąpa, zakwitają lilie krwawe, niemi stroi poetę*).

WIŁA.

Kwiaty rzucasz w poniewierce —
Ja zabiję —

POETA.

Znajdź me serce.

WIŁA.

Jesteś piękny, jesteś młody —
tu świątynia jest przyrody —
w żądzy ciemnej żyje bóg.
Na mej piersi, jak na łące,
pachną kwiaty gorejące —
niebo u mych nóg.
W mych uściskach szumią lasy
i w zygzaki rwą się chmury —

POETA.

Ale we mnie są marmury —

WIŁA.

Na Twój posąg tęcz mych pasy.
Moje łoże z macierzanek,
jak liliowy w świtach ranek,
jak wiosenne srebrne bazie
będę kąpać się w ekstazie —
Ty mój — Ty mój!

POETA.

Wszystkie światy
już minęły niepowrotnie —
i tak dżdżysto — i tak słotnie —
ach, gra we mnie — hymn Juraty!*)

(*w szale — w gniewie wyciąga ręce nad czarny wyjący ocean mroków. Wiedźmy podają mu — zeschłego trupa o złotych włosach, w kształt harfy — korona z rubinów na pustej czaszce*).

POETA.

Jurato, Jurato! gdzie Twój pałac bursztynowy? Rozbił ci bóg Perkun na drobne szczątki, które dziś wyławia rybak sieciami.

Jurato, na twe umarłe ciało spogląda harfiarz przykuty do skały i gra hymn!

Jurato, ubóstwiłem Cię nad wszelki żywioł, a umarłaś mi.

Królestwo moje oddam za jedno poruszenie Twych powiek, na których kropla sączy się krwi.

Chrystus Smutkialis**) siedzi z załamanemi rękoma — to tryumfator!

Przyjdź Jurato!

PŁANETNICA (*śpiewa — niewidzialna w odrynie*).

Szłam
z relikwiarzem na górę Pokoju
i był mrok.
I ujrzałam, gdy w jaskini siedział sam,
ze ściśniętemi pięśćmi tytan przegranego boju.
I owinęłam mu skroń
moim pachnącym z oliwek różańcem,

---

*) Królowa Bałtyku.

**) jasełka żmudzke.

a podemną w gwiazd zamieci szalał koń —
a nademną Jutrznia krwawym rozbłysnęła tańcem —

POETA.

Słyszę śpiew, a Ciebie niema.
Widmo Twoje zakląłem i nuci mi przed zgonem.
Jak wieloryb, gdy go strasznymi mackami owinie Orka**) i wyrywa płachty mięsa żywego — a on się miota na powierzchni fal i wyrzuca słupy krwawych fontann, tak miłość moja bluzga obłędem i melancholią.

(*Rozwarły się wrota odryny i dwie czarne ręce wysuwają się z mroku*)

POETA.

Pośród lodów płonie
afrykański żar —
zdębiły się konie
nad piekielny jar.
Czarne ręce Furyi
wabią mnie wśród gwiazd —
pachnie kwiat anturyi
nad zgliszczami miast.

PŁANETNICA.

(*mieczem magicznym czyni zaklęcia*).

Na tarasach ciężkie świeczniki Salomona. Zapalone ręce mumij. Wiele stołów nakrytych kosztownemi makatami Żmije pełzną swobodnie pośród kwiecia i kryształowych konwi.

Cysterna i siedem szafirowych Sefirothów, których oczy liczniejsze niż gwiaździste niebo pustyni.

W Hekatyjskiem kole zodyaku szafirowy Androgyn dźwiga słońce, a wąż owija mu stopy.

(*i oto się wznoszą tarasy, kandelabry smukłe jak węże z paszczą jarzących się gromnic— fontanna strzeżona przez kabalistyczne władze Niepojętego*).

Gwiazdy otaczają sferami Płanetnicę, która magnetyzując gwiazdami, tańczy. Wiedźmy wnoszą tron z czarnych brylantów i stroją w purpurę Poetę, który się daje wieść— i bierze w rękę berło z trupiej kości, obsadzane klejnotami).

---

*) Głowonóg.

WIEDŹMY.

Mamy króla — jest Herodes.

POETA HERODES.

Gra wicher na okarynie Stabat Mater.
Przed ranem zamkną mnie w domu furyatów.
O przyjdź, gwiaździsta Afrodys!
Gra faun ukryty w trzcinie w promieniach księżyca.
Chcę szydzić, marząc przy gwiazd szabaśniku,
gdy nagie tańczą Łauny przed szatanem.
Niech się zapadną gaje w jeziora miedzi skrzącej —
czy nie masz nieco opium, przez litość, o Ananke?

(*Planetnica tańcem wyraża ekstazę miłości — naśladując chmurę, motyla i kwiaty, wreszcie w płomieniach cała upada bezwładnie do nóg Poety*).

Chcesz złotych jabłek? już usnął smok Hesperydy.
Zdejm ze mnie czarną z stali karacenę
i przyćmij żagiew i nakryj ją szyszakiem —
daj ust —

RABIN (*do Planetnicy*).

Weź nóż i zetnij łeb Holofernowi.

(*wiodąc jej rękę zadaje ranę Poecie*).

POETA HERODES.

Tyś więc przebrana tu, o Dolores?
misericordia weszła mi po różę krzyża
i nie wiem, o Władczyni — gdzie jest mój zamek?

RABIN.

Twój zamek? twój? na łańcuch idź, żebraku —
tu składam Tobie pozew dnia sądnego!
Rycerzu — wieszczu — obudź się, Tyś aktor
co gra za mały pieniądz tak wielką komedyę —

POETA HERODES (*wzdryga się — lecz od dotknięcia Planetnicy znieruchamia*).

Krwawy i bezwstydny pachnie kwiat anturyi
nad czarnem łożem.

Gwiazda miłości pali się w toniach niedosiężnych.
Błądzę wśród sosen nad morzem
i widzę lico Furyi,
gdy czyta przyszłość z mojej zimnej dłoni.

RABIN (*do Hapuna*).

Daj mi — niech odpłynę na korabiu —
na te czarne morza, po których błądzi Ahaswer —
Gdzie mój Syon? karczma.
Gdzie mój psałterz? śmiech goimów.
Na niebie stanął krzyż — a w piekle wisi wklęsłe lustro.

HAPUN.

Trupowi dziś pogrzebionemu —
tę wilczą zanurz w serce kość —
przez otwór ujrzysz Twe królestwo
z krwi nie wylanej lecz wypitej.

RABIN.

Już wszystkie gwiazdy stliły się na węgiel.

(*staje w zadumie nad grobem Lilith i zwolna wilczą kość zanurza nogą — potem się nachyla, coś szepce, liczy na palcach, zagląda i cmoka*).

HAPUN.

Husz Lilith*), kym Lilith, husz!

Przytłumiony, a potem rosnący wrzask i śpiewy i bicie bębnów i uderzanie kośćmi widm. Od Hapuna pada cień potwornego kozła na chmurę —).

HAPUN.

Głownie przydepczcie nogami. Tu jest anioł. Zduście go, przysiadłszy na nim.

POETA HERODES (*do Płanetnicy*).

W świątyni stoi pylon czarnego boga.
Wśród nocy szumi kipiący mroźny gejzer.

---

*) stryga żydowska, co pożera dzieci.

HAPUN.

Wzbudź męztwo! Tu stoisz na zbezczeszczonem miejscu Pryjapejon.

POETA HERODES.

Dotknij ustami dyamentowy wyszlifowany poliedr na mojem czole.

HAPUN.

Zagasić światła.

WRZASKI.

Lingam, lingam, kym Lilith, kym Lilith!

HAPUN.

Królowa nocnych stryg, o Najczarniejszy, przychodzi pożreć płód, który się kryje w tem łonie (*wskazuje Hannę, która idzie ciężko pod górę jakby dźwigała krzyż*).

HANNA.

Oczy moje się zwróciły do wnętrza przed ohydnem dotknięciem Szatana — broń mnie, moja Matko Przenajświętsza, stoję w grzechu mym ukrzyżowana.

O Królowo — ma dusza zbłąkana w gwiazdach leci i upada ciemna — tu jest czarna świątynia Szatana, rzeka płaczu wybucha podziemna.

O Królowo — krwawe biją dzwony—na ich dźwiękach duch umarły wzlata — śmierci Anioł taki upragniony, skrzydła złote nad mem sercem splata.

XIĄŻĘ (*do Poety*).

Szatanie, zaprzysięgam Ci duszę moją, która jest nicością jak i Ty. Lecz mi daj złota, które jedno zdolne jest utworzyć zapomnienie.

Wiem, podepcesz moją tarcz herbową, zbrukasz mój grób obelgą i hańbą —vogue la galère!

(*wskakuje na korab, widma ładują mu wory ze złotem, on odpływa*).

HANNA.

O nie porzucaj mnie samej, upadam pod krzyżem.

(*Xiążę dziko się śmieje i znika*).

HAPUN.

Czyście ucałowali już wszyscy mój czarny kopyt? Ite concepta est.

(W piekielnym podziemnym ogniu widać ślepą Lilith, której dolna szczęka złota, nad nią spróchniała, okrwawiona, z wystającymi kłami).

LILITH-STRYGA

Wyrwałam lasy —
husz, husz —
niema lasów — nie będzie Litwy —
husz — husz!

KRZYK POETY

Zaprzysięgam moją duszę Bogu.

UPIORY.

To głos orła w niebiosach. Strąca gwiazdy, lecą — oh, palą nas — przebijają jak rozpalony ołów.

(Stryga Lilith ryczy, jakby ktoś piłą krajał mury kamiennej piwnicy, ochrypłe pianie bazyliszków, syki gadów i rechot żabców. Poeta wnosi omdlałą Hannę do wnętrza dębu świętego).

XIĄDZ.

Budzę się od jęku — czy to straszny sąd? ślepia upiorów, a na mej piersi ryngraf Iszkarjoty. Zdradziłem niebo.

(klęka bezsilnie, pod jego kolanami głucho zajęczał dzwon. Rabin porywa się z rozkopanej mogiły, Lilith — jego córa — powstaje, na nią rzucają się demony i szarpią).

RABIN.

Ja tobie, Lilith? ja Tobie przebiłem pierś tą wilczą kością?

LILITH.

Szatany nas przygnietli, ojcze.

RABIN.

Dziecko moje biorą i gwoździe wbijają jej w nozdrza — i za nogi wzięli i ją rozdarli. O szatany, o Hapunie — takaż nagroda?

(mocuje się z widmami).

GŁOS W NIEBIOSACH.

„Jam jest gwiazda zaranna — kto pragnie — niech bierze wodę żywota darmo"*).

Łańcuchy zbirów oplątały Poetę— Wiła bodzie strzałami jego pierś. On przybity do drzewa — nie czuje ran mówiących krwawymi językami).

UPIORY.

Anathema, anathema! prowadź nas — morduj nas — my będziemy pili krew — i na ziemnym grobie wzniesiem straszny nierozświetlny — gdzie już słońca niema — krzyżów las.

(W kręgu światła stoi skrwawiony Poeta i Hanna, klęcząca w kaplicy dębu tysiącletniego —

i Lilith poszarpana przez wampiry. Rabin oślepiony próbuje wejść w zasłony świateł — w mrocznej głębi widać Strygę Lilith o potwornych niejasnych kształtach i zwieszone głowami w dół bazyliszki. Przeciągły grzmot — i piorun uderza w dąb — demony jak nawałna chmura gaszą krąg jasności — błyska surowa twarz Matki Boskiej, przeszyta dwoma cięciami szabli — i świeci sama w wyjącym mroku rozpętanych widm).

Tadeusz Miciński.

---

*) Apocalipsa.

Noc rabinowa.

V.

Olbrzymie dęby niepołomy, rozdarte piorunami, wydęte w przepukliny i jaskinie. Toczy się wir czarnych leśnych wód, nad nim rosiczka jak misa krwawa o kurczowo poruszających się palcach. — Xiążę-Widmo stoi na trzęsącej się kępinie wśród bezdennych przepaści błot.— W mroku jarzą upiornie okna kniaziowskiego zamku.

XIĄŻĘ.

Korzenie nurzają się w piekle.
Stąd ich zasucha — liście zżółkły.
Już lecą. Wiatr miota.
Na tych liściach w mroku nogi trupa.
Czuję ich zimno.
Wzrok zezawy po ziemi ciągnie.
Znalazł klucz i otwarł bramę.
Złodziej — — nie! śmiało kroczy —
już jest w sali i w niej się rozgląda.
Skoro świt krwawy — — co ja mówię —
ja w pojedynkach tylu — oto gnę się —
portrety zdejmą ze ścian —
o szarym brzasku przy kagankach —
i twarze groźne hetmanów
będą się jarzyć. I kasztelanki
z różami za gorsem — zbudzone —

będą się uśmiechać do świeczek upiora.
Bóg mego nie zbudował domu,
i błotny odmęt
wyżera jego krwawe podwaliny.
Brama otwarta, kto śmiał wejść?
Stróże! psy spuścić z łańcucha—
zaszczuć go psami—zedrzeć maskę—

(Światła zamku stają się fosforycznie płonącemi oczyma sów — drzewa skrzypią, wstrząsając ramionami, i sypią zwiędłe liście jak przekleństwa).

KRÓLE DĘBY.

Tej nocy
Psy wyją na Ciebie, węsząc trupa.
Z karocy
twojej krew po kole chlupa.
Bezsilny
zejdziesz w ciemną krainę mgieł śmierci.
Pomnij: wchód do zamku tylny—
tam, kto ścianę przewierci
znajdzie skarby krzyżaków—
—szelest słyszę robaków—
na brzozie czarna dyablica się huśta.

SOWY.

Brama wyjęta z zawiasów—
taki gmach—nie podjąłby go tabun ludzi—
to była książąt brama tryumfalna.

(przyglądają się w mroku cyrografowi rabina, co błyszczy krwawem pismem na bramie wjazdowej).

Żydowskie pismo—pieczęć trupiej czaszki.
Rabin to pisał—proroctwo bezdroży.

KRÓLE DĘBY.

Erom—jak krwawy palec boży.
Nad tym zamkiem pisał Mene—
Mene—Thekel—Upharisim.

KOPYTNIK.

Nad bagnami wszyscy wisim.

ROSICZKA.

Wszyscy żyjem za krwi cenę.

KLON KARMAZYN.

Ta galerya wojewodów,
kasztelanów i hrabianek
z najświetniejszych Polski rodów—
nawet te krzyżowe stacye—
nim zaświta krwawy ranek,
tu zajedzie sto furmanek,
rude czarty—Mardocheje—
na londyńskie licytacye
będą wieźć—

PUHACZ *(śmiejąc się straszliwie)*.

Hamana dzieje.

SĘDZIWY GRAB.

Byłem za młodu w Italii—
Widziałem Dorie—Borghezy
i te hiszpańskie kortezy—
lecz my gorsi mizerable!
Dziś nie hełmy, dziś nie szable—
słońca zodyak lśni kanalii—
do umarłych trza nam iść.
Wiatr nas sypie, zwiędły liść!

(*Xiężyc leje swe promienie przez zielonawą kaskadę olbrzymiej wierzby, co jest Nichą tych wód*).

WIERZBA.

Był święty Jędrzej Bobola—
i tu leży pochowany—
i te zakrwawią się pola
w ostatniej bitwie—

(*na krwawej misie rosiczki błyska nagle ponura ścięta głowa szatana*).

SZATAN.

Łachmany!
w tem mojem piekle lodowem,
dźwigając skałę rozpaczy—
kto wyjrzy z niego—zobaczy
kościoły gnijące nad rowem,

nad ciemnym dżdżystym moczarem
zwodnicze nieba tęcze—
a ja was krwawię—i męczę—
oplatam gromów wężarem,
byście byli Laokony—
a nie kruki, sępy, wrony— —

(*Kogut w dali pieje i szatan znika*).

XIĄŻĘ.

Głos mi oniemiał od grozy—
w gardle płonęły zimne łzy.
Szatan przemawiał z błotnej łozy,
twarz miał podobną krwawej rdzy.
Tu idzie kondukt umarły—
za ogniami czarna matrona,
za nią młoda w srebrzystych fioletach
szlocha—i ręce łamie. I rozdarły
się szaty i jest obnażona.
Kawaler modny—w sajetach
zarąbał mieczem tę czarną
i z wyciem zeszli w głąb studni bezwodnej.
Senatorowie idą i ciągną ich wozy:
zapłakane oczy, wyschłe jagody—
spieczone usta, spalony język. Brody
okryte gęstym robakiem,
podziurawione czaszki, skąd wypada ogień *)
i skrępowane grubymi powrozy.
Słyszę okropną piosenkę,
przy jej dźwiękach schodzą w ten wir,
gdzie się miażdżą dusze—i Bóg się ich wyparł.
Mgła zionie, jak z serca Meduzy.
Idzie tu staruszek bezzębny i ślepy.

(*Spostrzega widmo rabina*).

Zły jesteś, starcze,
w trzęsącej się kępinie
niema już miejsca dla nas obu,
a Ty chcesz się pomieścić z tym psem,

*) Strachy na zamku Trockim z w. XVII.

co ma oczy obłąkanego Tassa.
Pies ten mnie węszy i wyje.
Nad tobą wrony kraczą,
a mrówki zakrywają ślady Twych stóp.
Kosturem trącasz
w ten zimny bulgot—mnie—
litości—widzę gwiazdę magów—
płonie kwiat paproci—
będę zbierał na drogach pył, aż usypię góry
i spojrzę w niebo i łzami zapłaczę.

(Rabin-widmo porusza bezzębnemi szczękami, mruga oczyma—chce coś powiedzieć i tylko głuchy wydobywa mu się jęk. Ręka szatana wciąga go nazad w trzęsawę).

XIĄŻĘ.

Brzęczą pszczoły zielone *)
w żywem tysiącletniem drzewie
i do słońca się rwą przebudzone—
i słońce mi niosą w swym śpiewie.

(Pszczoły wchodzą z Królową matką swą).

PSZCZOŁY.

Słyszeliśmy jęk przerażający—
ten, co zaprzedał puszczę!
I wytępią stare odwieczne święte barcie—
zapuśćmy mu żądła jadem zbrojne—
sześćdziesiąt tysięcy poczuje sztyletów—
jakże niewinną jest żołna, co nas wyjada długim
językiem—i niedźwiedź łakomy, co
łapą zagarnia złoty łup—i ta ćma
udająca głos królowej, aby bezkarnie
wejść do ula—
po tysiąc razy podlejszy jest zły człowiek.

KRÓLOWA.

Wylecimy skoro świt na nowe
roje—w tym dniu nie mają żądła
nasze trucizny. Obstąpmy go złotym
wieńcem i będziemy mu snuli pra-
wieczną mądrość borów.

---

*) Te, których ul jest wyrąbany w sośnie.

PSZCZOŁY.

Niech dusza jego przejdzie w trutnia.

KRÓLOWA.

Me serce dzisiaj brzmi jak lutnia.

PSZCZOŁY.

Jest prawo srogie leśnej barci—

XIĄŻĘ.

Serce mię w piersiach srożej karci—

PSZCZOŁY.

Jabłoń odarłeś z żywej kory—

XIĄŻĘ.

Tak, jabłoń życia, tępiąc bory.

KRÓLOWA.

Słowa strasznego rzec się boję.

XIĄŻĘ.

Jelitem mojem ranę zgoję—
Przybiję się do drzewa nożem
i mym jelitem pień okręcę
i będę krwią go rosił w męce,
aż wyda kwiaty śnieżno-krwawe.
I pszczelne będą latać roje,
woskiem się czarny grób rozjarzy—

(Mgły jeziorne go zakrywają — w dali gra hejnał — słychać szczęk broni — hufiec witeziów przemiga, ścigając upiory. — Wchodzą boginki, witezie i kapłani z ogniem ukrytym w runicznych krywulach).

HEJNAŁ.

Graj moja duszo Panu, graj—
ojczyzną Twoją niebiosa—
dokoła puszcza—ciemny gaj—
najświętsza z Dziew złotowłosa.
U nóg Jej światów brylanty,
w pasie Jej miesiąc przejrzysty,
po bagnach wyją poświsty,
szatańskie nucą kuranty.

WITEŹ.

Słuchajcie, jak dziką pieśń roskoszy nucą w Grodzie Hapuna.

(*Stare ohydne karły wyją dźwiękiem chrapliwych trąb z czeluści wiru*).

KARŁY.

Kąsając twoje piersi nurzam się w krwi,
na wodach śmierci czarne drżą łodzie,
palą się gwiazdy pod łukiem Twych brwi,
jak niewolnice zamrożone w lodzie.

GŁOS PEŁEN ECHA.

Synu mój, synu—nie wypieraj się trzewi tego bagna, które Cię zrodziło.

WITEŹ II.

To głos matki naszego Wodza—zapatrzył się On w czarną głębinę, w zbroi Jego odbijają się gwiazdy, jakby wołały toń Jego piersi od morza.

BOGINKA LILIA WODNA.

Jeziora błękitnieją, ach! rój motyli lata w szale miłosnym, w omdleniu spadają jak gęsty śnieg na ciepłe ogrzane wody.

WITEŹ.

Kazał nam wyostrzyć miecze z sopli lodowych, które są w grotach zamarzłego oceanu, i rozświetlić tarcze księżyców — abyśmy byli gotowi do krwawego zarania.

Lecz oto pogrążam się w nieskończonym poemacie Summy życia i czuję, że tam za tymi skłębionymi oparami, w tych zamtuzach i jatkach ludzkiego mięsa, przebywają nasi pokrewni, którym będę mieczem wyrzeźbiał skrzydła i nurzał w jeziora płomieniejących kraterów.

WITEŹ II.

Wódz nasz z Bogiem rozmawia, zawierzę Mu i będę czynił jak On.

KAPŁAN.

Święte ogrodzenie tej puszczy obległ jadowity wąż—z tchnień jego rodzą się kobiety oplątujące wężowym uściskiem, który zmienia bohatera w stworzenie ryjące pod dębami.

Z jego ślepi sypią się zaraźliwe chmury obłędu.

Powietrze balsamiczne stało się ciężkie od zatęchłej krwi; idąc przez kładkę ludzkich ciał, z grozą usłyszysz jęk zatopionego anioła.

KAPŁAN II.

Fałszywi Mesyasze, politycy bez czoła, wieszcze bez sumienia, i ca-

łe hordy półludzi, z jedną ręką i jedną nogą i połową twarzy zwierzęcej.

WITEŹ II.

Tymczasem idźmy spełniać czyn miłosierdzia dla tej ziemi, zadając potworom śmierć.

(Witezie odchodzą, kapłani palą bursztyny przy Świętym Dębie. — Z kłębiących się mgieł wychodzi Hanna i wódz).

HANNA.

Wicher swem wyciem poszarpał ciche melodye mej duszy. Mroźno mi—weź węgle i połóż mi tu, o! czemu świat staje się taki zimny? czy jest Bóg—i Ty nie wiesz?

Twój kwiat paproci zczerniał, odbijając się w jeziorach zasłanych białym śniegiem jacicy — którą rybacy zbierają w wory, a ona wciąż leci miryadami na ich krwawiące pochodnie. Ta noc musiała oszaleć od łez i od szczęścia.

Kwiaty drzew owocowych, zawiązujące się zboża nic że Ci nie mówią? słowiki, które omdlewają od rozkoszy, tysiączne szmery niewiadomych uciech? Ach, tym rytmem szalonej melodyi zapala się nowe życie, którego daremno szukasz w jakichś okropnych głębinach.

W ciągłem myśleniu duszy ciało Twoje rozpięte między górami Kaukazu, których szczyty są niedosiężne.

Nie dotknąłeś mnie jeszcze ustami, i jak mleko uderza czasami do głowy matkom, które nie karmią.

WÓDZ.

Więc co?

HANNA.

Umysł mój się wstrząsa od Twoich wizyj, które nie mają urzeczywistnienia.

WÓDZ.

Tworzą najgłębszą rzeczywistość, która tak się pogrąża w otchłań wiekuistej prawdy, że już Twe oczy nie widzą nic ponad mgły.

HANNA.

Powietrze jest przesycone dźwiękami miłosnych harf. Krew moja bije jak gorące źródło pod kamienną nawłoką Twojej dumy. Ja cię ogrzeję — ty marzniesz od mrozu międzyplanetarnego w tej sypialni wieczności.

WÓDZ.

Hanno, oto mąż twój, którego szukasz.

(Przez rozchylony welon mgły widać nad jeziorem Xięcia, który oplótł drzewo swem ciałem, a skrzydła jego szare, nikłe, nurzają się w krwawej kałuży. — Hanna w najwyższem zdumieniu i trwodze czuje, jak się coś łamie w jej piersiach — blade Martwice omdloną wiodą do łodzi w kształt liścia klonu).

Martwe nóżki same wiodą
po murawie, gdzie lśnią łzy—
nad bagnistą czarną wodą
płynę ja i płyniesz ty.

Zerwij róże, czarne róże
i cierniowy zwij mi wian—
serce moje w krwi zanurzę
i w weselny pójdę tan.

Martwe nóżki same wiodą
tam, gdzie lśni paproci kwiat,
nad moczarów ciemną wodą
strzeże skarbów zbrojny gad.

Dusza wieszcza, niezgłębiona
i gwiaździsta, jak ta noc—
w błyskawicach śni i kona,
aż słoneczna błyśnie Moc.

Martwe nóżki same wiodą
nad tęczową bagien toń,
pod zwaloną dębu kłodą
trupich główek stęchła woń.

Bagien światła, borów mroki,
już piekielny błysnął gmach—
na powietrzu lecą smoki,
dusza tonie w słodkich łzach.

WÓDZ.

Cisza mroczna i przeraźliwa, jak otchłań w umarłej piersi.
Gwiazdy blade, spokojne.

One są inne, niż ja. One są prawdą.

Jam kryształ popękany, który nie może skupić wszystkich promieni w jedno ognisko Boga-człowieka.

(Szatan w postaci mgły podkrada się).

SZATAN.

Weź cały ten kraj za tron dla Twojej dumy. Szatanem bądź. W zamku gwiaździstym panuj z nierządnicą.

Rozpalaj góry lawą, zamrażaj ocean, z powietrza majowego wij cyklony.

Ach, wirem strasznym idź—kurzawą zmarłych gwiazd—potysiąckrotnie siebie w otchłań wgnieć—i znów nad gwiazdy leć.

Nienawidź—nienawidź—nienawidź!

(Wódz nakłada na łuk strzałę płonącą kwiatem paproci i rzuca ją na przepaści błot).

WÓDZ.

O gwiazdy, waszym świętym imionom poddaję wszystkie królestwa, które zdobędę błyskiem tego kwiecia. O serce!

GŁOS TAJEMNY.

Jestem Ci posłuszne.

Jestem święte, wieszcze i bohaterskie w swych głębinach. Jestem Prawda.

(Wchodzi Hapun przebrany za Xiędza, z zawiązanemi oczyma, wprowadzają go witezie i zostawiają samego z wodzem).

WÓDZ *(spostrzegłszy Xiędza).*

Zdaje się, że nie trafiłeś na górę Tabor?

XIĄDZ.

Mówisz o przeznaczeniu—tak jest—skończył się dla mnie Chrystus ukrzyżowany—rozpoczęła się epoka spokojnych godów. Przy każdej chacie, gdzie stał symbol męki, postawiłem obraz rządzącego rozsądku, a na każdym wzgórzu kapliczkę mądrej wyrozumiałości dla siebie.

Jestto, że tak powiem, kościół historycznie skorygowany. Ewangelia była żywem, krwawiącem się ciałem, my ją odzialiśmy w skórę koniecznych względów.

WÓDZ.

Zanadto grubą, mości panie.

XIĄDZ.

W wybujałej fantazyi zrodziłeś Hapuna. Niema go, gdyby był — sprzeciwiałby się rząd jego rządom Opatrzności. Hapuna niema — stukaj, krzycz, strzelaj — nie odezwie się — argumentum ab silentio. Zato jest instynkt w każdym z nas, który każe czcić środowisko. Komar nim dostanie skrzydeł, musi żyć długo w kałuży. A przeto ona dla niego staje się górnym i czystym eterem. Zresztą unikajmy pojęć ostrych.

WÓDZ.

Dziwnym i tajemniczym cudem znalazłem duszę. Chcę ją wprowadzić na góry pnące się do życia wniebowziętego.

XIĄDZ.

To jest myśl wzniosła, ale ją poddaj krytyce, która odpowiednio przesiewa światło od ciemności.

Daj się wieść. Nie podejrzewaj dobrych intencyj nawet Hapuna.

Nie obrażaj go daremno — nazwij go lepiej tym, który był i który potrwa.

WÓDZ.

Więc nawróciłeś się na wiarę w nieśmiertelność?

XIĄDZ.

Skoro dyabły wpędzone w Martwe morze duszy żyją aż dotąd —

WÓDZ.

— tucząc się pozorami

XIĄDZ.

Wiara zasię przenosi góry nie a jest warta kropli zdrowego pozoru, który żłobi skałę.

WÓDZ.

Zaiste, wyżłobiłeś skałę, na której opierał się boski kościół twego powołania.

Odstąp, abyś mi nie odbierał boskich promieni tej nocy.

XIĄDZ.

Jestem dostojnikiem instytucyi, która ma władzę otwierać i zamykać wasze oczy.

WÓDZ.

Lecz jeśli poprzez muł ktoś ujrzy gwiazdy i w odrobinie piasku usłyszy ocean?

XIĄDZ.

Słyszeliśmy o twych własnościach i Hapun, chcę mówić, ten, który jest, kazał ci ofiarować urząd nadwornego maga. Gdy mu się urodzi syn z baletnicy, (widzisz—ona dawniej też bujała po niebie)—ty pójdziesz przed lud z noworodkiem — i powiesz: oto jest rószczka przymierza między wami i Bogiem.

WÓDZ.

Język mój nigdy nie będzie ogonem skorpiona.

XIĄDZ.

Wyklinam cię — w imię tej potęgi, co umiała na pustyniach postawić urzędy swoje i na wyspach, gdzie żyją tylko pingwiny — zakłada arcybractwa dobrej śmierci.

WÓDZ.

Płynąc po czarnym, wzdętym, wyjącym oceanie tajemnic—na moim okręcie nieśmiertelnym—z zygzakami elektryczności na maszcie—każę te pingwiny nałapać dla twojej owczarni.

XIĄDZ.

Znam twoje rany—twoją piętę Achillesa, strzeż się!

WÓDZ.

Znasz tylko piętę Achillesa!

XIĄDZ.

Matką twoją jest ta przepaść błotna, ojcem twoim jest błądzący tułacz kometa.

WÓDZ.

Co? więc bratem Płanetnicy —

XIĄDZ.

Kochanką twoją jest idea mistyczna i niebezpieczna, lecz zaprawdę, powiadam Ci, wszyscy jesteśmy posągami z krwi i błota, i nie udźwigniemy słońca.

WÓDZ (do witeziów).

Wyprowadzić go, nie zamykając mu oczu, ślepy jest.

(*Do siebie*) Ten strażnik pobielanych grobów wyrzekł mi doniosłą prawdę. O siostro moja, o piękności—muszę śpieszyć na wyzwolenie twoje.

WITEŹ.

Wodzu, zwyczajem leśnym możnaby Hapuna dom przyprzeć drągami i podpalić, tak zginie czerw toczący duszę.

WÓDZ.

Na łodziach płyńcie, aż do ujścia rzek — nad morzem pod górą Biruty czekam was — zapalicie żagwie i światłami witać będziecie Prajurimę. Kapłani niech plotą wieńce z ostatnich kwiatów umierającej ziemi. Gdzie Arjaman?

KAPŁAN.

Prowadzi żubry. Słyszę dźwięk jego rogu, przyzwałeś go kwiatem paproci.

(*W dali rozbrzmiewa starodawna trąba litewska Sutartiniema, donośna i harmonijna, co grała w święta wieczorem wśród puszcz. — Drżą dęby, jawory, klony, jodły i buki, jakby pod ziemią tętniły wozy piorunowe. Tysiączne odbijają się echa, aż muzyka staje się rozmodlonym dzwonem tych królestw sennych. Z gęstwiny wynurzają się czarne potworne łby żubrów, w mroku wzdętych kudłów jarzą się ślepia, a rogi hebanowe osrebrzone rosą, pochylone nizko, jakby chciały bóść ziemię. I jak burza wstrzymana stanęły na głos olbrzyma, co szedł za nimi, grając w trąbę z wydrążonego drzewa, pokrytą runami, ogromną na wzrost swój. Zbudowany jak posąg, nagi, z lwią grzywą długich włosów — twarz jego prześwietlona wieczną młodością*).

WITEZIE.

To Arjaman—syn słońca.

WÓDZ.

Tyś jest bóg Arjaman?

ARJAMAN.

Jestem bóg zaiste, człowiek dobry.

WÓDZ.

Żyjesz na górze wśród mędrców, stada żubrów pasą się w kwietnych dolinach i wracają nocą do własnych kamiennych domostw. Góra wasza nie ma dostępu, okryta pierścieniem mgieł nieprzebytych.

ARJAMAN.

W drzewach tych krąży nasza krew, w żubrach tych żyją duchy naszych przodków.

(Naciska drzewo—i z pod jego palców ono bluzga krwią).

W grotach naszych są sigillarye i drzewa paproci, smoki skrzydlate czepiają się pazurami gigantycznych wrzosów, co śnieżą się białymi kielichami kwiecia. I ty niegdyś żyłeś z nami. A potem—widziałem cię na stepach, gdy leżałeś, król niepogrzebiony, orły klekotaniem swem odstraszały od ciała twego drapieżne hyeny.

Jesteś dawny—i powracasz.

WÓDZ.

Ha, nieśmiertelny jestem — z kłębami wyjących harpij na dnie mojej duszy? o Arjamanie, Arjamanie—święty i boski—jak okropnych siedem ran gwiaździstych zadałeś mi tym jasnowidzeniem!

Wydarłeś snowi memu jego słodycz i została mi się w ręku jego groza.

Śmierć jest wybawieniem mojem z tych błędnych moczarów.

I śmierć jest najwyższą z męczarń, która mój ból unieśmiertelni.

Ta noc szalała od miłości, ja spalam się od Burzy Niewiadomego.

Pożądam ognia, który gorze na obrazach starych katedr—i niechby się we mnie wzniósł duch przez najwyższą męczarnię — aż ku Temu, co jest Mrokiem pełnym ognia, Niebem w otchłani, Wszechświatem i Mną.

(Wódz wyciąga rękę nad horyzont, wpatrzony w Najwyższe i Niewyrażalne, Arjaman płonącą żagiew rzuca w wir. — Wajdeloci wiążą łańcuchem do czterech dębów konia w żałobnej oponie, którego oczy zdają się być krwawemi jamami. Zapalają koło niego kłody i smolne wykroty).

WAJDELOCI.

Na złotych wyspach wśród wyjących głębin
góry się wznoszą z czarnych kryształów.
Pałac słoneczny błyszczy lodami,
kwitną na grobach drzewa jabłoni.
Tu góra życia, tam góra zgonu—
w wiecznej męczarni walczą ze sobą—
koń twój świecący musi przelecieć —
między górami gdy się rozewrą.
Najszybszy orzeł ginie w pół drogi,

góry się schodzą i znów rozchodzą—
bohater pędząc na Zorzy koniu,
ujrzy, jak konia rozmiażdżą skały.

(Bolesna, rozdzierajaca pogrzebowa melodya. — Kapłani idą korowodem dokoła stosów).

Oj żale, żale—howorzą wody,
wymordowane ciemne narody.
Popioły niecąc z kamiennych urn,
kościeje płaczą z lochów i turn [1]).
Oj żalu, żalu—chata na palu—
na złe moczary idą oćwiary [2])—
z krzykiem żałobnym morskich wronek [3])
w mogiły zeszedł smętny dzionek.
Zapala ogniem świętych drzew
ten boży syn -pioruna gniew—
na czarnym koniu z mogilnych rias [4])
wskrzesi umarłych bogów las.
Oj żalu, żalu, ciche nieboże—
z ogniem błyskawic idziesz w bezdroże.
Umarł u wdowy jedyny kwiat,
zatruł go w lesie czarny gad.

(Wracają z powrotem, rzucając do ognia bursztyn).

Ku radości ludów tej ziemi
dałeś ogień nam, święty Swarożе,
na tym koniu czarnym idziesz w morze,
a koń patrzy jamami krwawemi.

Brzękła struna wśród nocy, zadrgał las—
kto nas wróci do życia, z martwych wzniesie nas?
Oj żalu, żalu—ty dziecię boże,
z kwiatem Perkuna idziesz w bezdroże.
Na twej koronie wężary snów,
nad moczarami księżyca nów—
Światowied umarł, żyje płaz—
szumi na wichrze czarny las.

(Przepaść wiru staje się krwawa, w czarnym słupie dymu pojawia się bóg Prargatis [5]) — twarz ciemna, brąnzowa, oczy skośne, złe — włosy rozwichrzone jak zielony krzew jemioły na zeschłym dębie — w ręce bawola czaszka i turzy róg z lejącą się krwią).

---

[1]) turna—truna. [2]) poczwary. [3]) mewy. [4]) święta opończa. [5]) piekło.

PRARGATIS.

Na koniu w śmiertelnej żałobie
zejdź między czterema ogniami,
Hapuna krew lej mi na grobie
i poświęć mi serce twej Lamii [1]).

Są w czarnych jaskiniach olbrzymy—
pod młotem ich słońce się krwawi,
tu Weja [2]) —tu groźny bóg zimy—
tu Atrymp [3]) ocean się mgławi.

W przepaściach samotnych twa droga,
jak smok w jaskini wśród mroku
wykujesz z lodowców Swaroga
i ogniem rozpalisz w obłoku.

Lecz miej potęgę kamienną—
w podziemiach, na koniu żarowym,
ożenię Ciebie z Gehenną—
uczynię Cię królem grobowym.

I będziesz duchem tej puszczy,
i żubry nakarmisz znów tonką,
i zbroja na tobie się złuszczy—
górami, kwiatami i łąką.

WÓDZ.

Powracam do Was, rówieśni bogowie,
nagi—nieśmiertelny idę wśród chmur—
palę wam bursztyn, kwiatów pąkowie
i gromom Waszym poddaję ten bór.

W mroku grobowym będę strzegł granic—
Hapuna zmiażdży krzemienny młot —
na górach z lodu, pośród krzesanic —
niechaj się zbierze umarłych zlot.

---

[1]) Łaumia—tęcza, zwodnica—przecudnej piękności—mieszka w obłokach. [2]) wiatr.
[3]) bóg morza.

(Wchodzi skrwawiony Witeź ze strzaskaną tarczą).

WITEŹ.

Hapun oszalał — wyrywa pnie,
gryzie w podziemiach grobowca mur,
tam gdzie umarła leży w śnie,
gdzie kaskad śpiewnych zamarzł chór.

Pająk trujący biegnie tu wcwał,
skrzydłem potwornym te lasy gnie—
tańczy na tłuszczy gnijących ciał—
żądłem zabija przyszłości dnie.

(Arjaman gestem nakazuje milczenie. — Wódz zrzuciwszy płaszcz, w zbroi na nagiem ciele, ze straszliwą niezłomnością przechodzi wśród buchających ogni, koń próbuje się wyszarpnąć z łańcuchów i jęczy okropnie. — Jakby się chmura oberwała i przykryła mrokiem. — Błyskawica oświetla niebo, będące pobojowiskiem pożerających się kraterów ognia i chmur. — Ukazują się przełęcze gór groźnych i spadzistych. — Gromada istot podobnych ludziom, o widmowym wyrazie twarzy, stąpa wśród śnieżnych pól, sieczona wichrem, który ich zgina w tył — strąca lub dźwiga, czyniąc z nich jakby zawieruchę liści burych, spadających w jezioro lub rozsypujących się po szczelinach i grotach. — Chwilami wicher ustaje i słychać litanię do Matki Boskiej, która ich prowadzi).

Królowo ślepionych ptaków,
które Ci nucą na błękitach—
Królowo zmarłych polaków,
zakutych w rdzawą stal—
Królowo w piekielnych zgrzytach
niosąca wiosny śpiew—
Królowo łkających mew,
nad morzem w siną dal—

(Mrok i milczenie, gdy Xiężyc oświetla zamek nad otchłanią, poruszenie między pielgrzymami — jedni wyciągnąwszy ręce stoją tak niemi, drudzy padają na twarz i łkają).

Oto zamczysko lśni się w mroku
na górze zimnej jak Gehenna—

— —

i słucha gędźby na obłoku,
którą mu Dola gra płomienna.

— —

Lecz nieprzebyte są wąwozy,
a białe kości widzę w dole—

— —

Królestwo zmarłej legendy i grozy,
z kulą w sercu, z gwiazdami na czole.

— —

W oniemiałych borach sny wiszą
jak nietoperze—

— —

to na drzewach się kołyszą
czarni rycerze.
Niewiasta trzyma zapadającego w studnię
męża w koronie—
on się jak łachman w jej ręku przerywa—
i cóż zostało? krwawe półczłowieka.
— — Ha milcz! rozewrzyj oko duszy! oszalej!
Błyskawica, jakby śmierć biała —
trzepocąc w lodach skrzydłami
zamarzła—w długie śmiertelne południe—
i uczyniło się przez trzy okamgnienia—
trzy sądy—trzy potępienia nad nami.

— —

Duch mi się obłąkał, patrząc na tę bezforemną wizyę.
A strach mnie oszczepem przez kręgi grzbietu przedżgał.
Mnie krwawo w oczach—
— — mnie ciemno.
Tulmy się! bo słyszę Saturna
pierścienie — —
te wody, jakby łez urna.

— —

Daj mi człowieka! siądę mu na żyle
i spiję krew.
Przedemną senne ogrody—
złote i czarne motyle — —

— —

Patrzcie, ponad kraterem rozżarzonej lawy
przechodzi widmo i koroną błyska.

— —

a tam okropne larwy pełne wrzawy,
i węże wstają z leśnego bagniska.

— — Ach, i zanurzył w ten krater
i żarzącą milionem płomieni
koronę włożył na skronie—
ach, popalone ma dłonie—
lecz z oczu widzę—bohater.
Stanął przed nami, jak zgon.

STARZEC.

I cóż nam czytasz z gwiazd wyroku?

CHÓR.

Mów, proroku!

STARZEC.

Żeśmy czerwie? żeśmy karły?
nieudany ziemi płód?
oto płomień! oto lód!
szpony nas śmierci rozdarły—
nicość męki—nicość słowa—
próżna męka Chrystusowa—
próżny wieków trud—
zagłada wieczna z wyroku—

CHÓR.

Mów, proroku!

STARZEC.

Czemu nas słońce karmiło jasnością?
czemu nam w lipach pszczoły brzęczały?
czemu nas jutrznie witały
lasów żywicznych wonnością?
Umiłowaliśmy tę ziemię,
jako matkę nam rodzoną—
i w moczar nas zapędzono
i szatanów dano brzemię.
W każdej przydrożnej świątyni
na kamiennej posadzce
zostawiamy łzawe twarze
jakby chustę Weroniki.
Modlim się dziewicy Matce
przy każdem drzewku pustyni,

błogosławim każdej trawce,
ale nas pędzi Mord dziki
przed okrwawione ołtarze,
i nie mamy ni życia sposobu,
ni zbawienia, doszedłszy już grobu.
I tu, gdzie potwory
ścielą swe gniazda w pieczarach—
i ciała sieką na marach—
gdzie słowicze rozhowory
i księżyc cicho mdlejący—
widzim ród synów gnijący—
i wytępione już bory.
Na cmentarzu strasznym świata,
gdzie sępy jedzą nas żywych,
kroczymy do stóp litościwych
Boga, co umarł z rąk kata.

— — —

Nie znamy światła ni drogi
u cmentarnych bram—
na bagien grzęzkie rozłogi
padają nasze łzy—
W kwiatach rozpacznych blekotu
sycimy czarny miód,
wyginął prastary lud,
ustąpił żywemu błotu.
Margraf Niedźwiedź [1])—niszczyciel pszczół—
nas palił, ścinał i więził—
krwią naszą wypełnił Gral
i z krzyżem teraz stoi
zakuty w piekielną stal.
Podły ciemiężca niewinnych
przybłędami ziemię struł,
on kat dla rączek dziecinnych,
które przybijał do ław—
obrońca Chrystusa praw!
on się niczego nie boi—

---

[1]) Albrecht, z przydomkiem Niedźwiedź—morderca ludów pogańskich.

prócz słowiańskiej mściwej pięści —
ten gad łuską zimną chrzęści —
i mieczem na słabych się zbroi.

(Wysuwa się widmo rudego rycerza z mieczem katowskim).

MARGRAF.

Przysiągłem Jezusowi i sobie,
że wasze ziemie zagarnę —
a słowo me zważne i karne:
na wielkim słowian grobie
zasiało milion kominów —
wycięte prastare bory,
Lutyków — Retrzan — Wagrzynów —
a nadmorski gród Aistów
i Arkony święte zbory
i harfiarski lud Wenedów
wystąpił nasz zakon Chrystów,
a przyzwał zelandów i kwedów.

CHÓR.

On kat dla rączek dziecinnych,
które przybijał do ław —
obrońca nikczemnych praw —
on się niczego nie boi
i z krzyżem i z mieczem tu stoi.

WÓDZ.

Słońce tu zmarza i gaśnie,
przy wyciu zimnych mórz —
narody widm kończą tu waśnie —

(Śnieżna zawierucha zasypuje świat, widać zamarzłe już postacie — jedne z wyciągniętemi pięściami — drugie klęczące. — Margraf leży przybity do ziemi mieczem własnym, wódz cicho gra na harfie).

WÓDZ.

Pójdę za morza w dal,
złamię w sercu mem żal
i słońce podniosę prastare —
tam do więzień głębokich,
tam do zamków wysokich
pójdę ludzi nawracać na wiarę.

Kwiaty rzucę im z pól
i ukoję ich ból
miodowym zapachem lip czarnych,
Bóg pomoże i wzniesie,
w grzechów ciemnych mym lesie
tę świątynię ze stosów ofiarnych.

I powiodę nieznany
braci moich w kurhany
pogrzebionej i śniącej miłości—
Boże, ukój w mem łonie,
ten żar piekieł co płonie
smutkiem czarnym bezbrzeżnej nicości.

(Stary bóg Perkunas — z rogiem turzym na pasie, z miesiącem za plecyma, który mdło świeci — mówi do wodza):

PERKUNAS.

Przyszedłeś na widma spozierać,
wnuku Lietuwy [1]) i Znicza—
po naukę wielką—jak umierać—
i niedolę—jak poznać z oblicza?
zanim skonasz—daj mi krwi do krużа—
ja was pomszczę—ja piorun—ja burza!

PRZECHERA.

A ten gotów—i miecza nachyla—
z rąk podartych krwi utocz do kwiatka—
niech się stary zabawi w motyla,
a wystarczy mu puhar z bławatka.

WÓDZ.

Bóg widzi, zemsty nie pragną!

(wskazuje umarłych)

Ale na krwawy ślub bratni
wylewam puhar na bagno
tej krwi—da Wszechmoc—ostatniej!

---

[1]) Bogini rozkoszy.

(Rani głęboko swą pierś i pełnym potokiem nalewa kruż—widma się cisną—Perkun zabłysnąwszy, z mocą straszliwą odpycha innych).

PERKUN.

Jeszcze na was nie jest czas!
w zawieruchę! w czarny mróz—
w opalony świątyń las—
w ruin gruz! *(Błyska piorunami).*
A kto wstanie i we mnie uwierzy—
a kto wstanie—chociaż pogrzebiony—
i uderzy w złote życia dzwony—
i zapali mój płomień na wieży—
a kto z piersi uczyni świątynię
i zakrwawi się sam u ołtarza—
i otchłaniom będzie za harfiarza—
i nie zwątpi w śmiertelnej godzinie—
temu wzbudzę ja naród upiorów—
i zatrząśnie królów majestatem—
dla najwyższych i maluczkich on bratem
a dla niemców on—mścicielem borów.

NIJA.

Jam brama—przez mię widma chodzą—
Ja matka zmarłych dusz—
daj mi tej krwi, bo ze mnie się zrodzą
królowie najgłębszych mórz—

PERKUN.

Jeśli się jeszcze w kruży zostało,
to pij! mnie dosyć—

NIJA.

Mnie mało!
i to—dla umarłych mych dzieci—
ja Nioba, płaczka pobojowisk,
ja kapłanka, co stosy roznieci—
ja olbrzymka idąca wśród mrowisk
wylewam tej krwi objatę
na światy twórcze z płomienia.

MATKA BOSKA (*twarz jej prawieczna w piękności, z najgłębszą zadumą i smutkiem*).

Kto zbuduje wolną chwałę
większym jest—niż król więzienia.

(*Boginie podchodzą do niej i koronują różowiącemi smugami przedświtu*).

BOGINIE.

Z nas umarłych weź te lśnienia—
niesiem dary nie bogate:
Żemes-mate, Meża-mate,
Juras-mate, Weja-mate,
Ugnus-mate, Bittes-mate,
Welia-mate, Darża-mate [1])
Ko ludi seseli, ko ludi?
Ko ludi lelijeli, ko ludi? [2])

(*W chmurze czarno-śnieżnej i krwawiącej się — pełnej gór i przepaści — zapadli — widać dogorywający już stos — witezie zanurzają w popiołach miecze, każdy kapłan iskrę bierze do wnętrza swej wydrążonej krywuli — Arjaman modląc się z podniesionymi rękoma, prowadzi ich po zielonych napowietrznych mostach. — Runęła chmura i zalała stos kłębem pian, zawierucha liści kurzy się w trąbie powietrznej, wierzchołki drzew fruwają jak ścięte nożem, stado żubrów w popłochu uciekając przed powodzią, pędzi jak burza z pochylonymi łbami*).

Tadeusz Miciński.

---

[1]) Matka ziemi, lasu, morza, wiatru, ognia, pszczół, mogił, ogrodów.

[2]) Czego się smucisz siostrzyczko, czego się smucisz? czego się smucisz lilijko czego się smucisz?

Noc rabinowa.

VI.

(Pałac z mgły i pary - podwórko ubrane w kwiaty wszelakie. Środek złotem wypełniony, dach perłami nasadzany. Zamiast bramy tęcza. — Pramżimas przedwieczny i najwyższy, taki sam, jak my grzeszni – tylko stareńki, siwieńki i brodaty. Zrywa z drzewa złote orzechy i tłucze je dziadkiem. Co stłucze, to robi się grzmot, a łupinki składa na kupkę. — Z kąta wyłazi Licho – z rogami, nogi indycze, łapouchy, ciągnie wołową skórę).

PRAMŻIMAS.

Ej ty Licho, Kaduk—Nieszto—czy jak ci tam—co słychać?

LICHO.

Ee, Panie, mówić grzech.

PRAMŻIMAS.

Podaj skórę.

LICHO.

Stałem ja w babińcu, zapisywałem, zapisywałem—aj-aj!

PRAMŻIMAS.

A czego to był taki wrzask?

LICHO.

Nic ważnego – jeden muzyka zajrzał mi prawem okiem co piszę –

a co waszmość taki ciekawy? tak ja go chapiułem pazurkami za oko — no i wylazło to, i krzyczało.

PRAMŻIMAS.

Czytaj, bo to chfarmazońskie pismo, nie będę się nim babrał.

LICHO (czyta).

Na dwunastu ludzi był dawniej jeden Judasz, teraz na dwunastu Judaszów jeden jest dobry.

PRAMŻIMAS.

Ja go tam szukał nie będę. A moje poleszuki?

LICHO.

Niedojdy, miamle, ośpiboki, miętusie — nawet jeśli który ma rogi — to nie inne jak ślimak.

Kołtuny swoje leczą wszami, połowa dzieciaków we wsi podobna jest do dziedzica.

O arendarzu dobrze mówią — aby bałoto — to i czort budzie.

O piekle dobrze mówią: w kotłach sami panowie i xięża.

O tobie dobrze mówią — żeś ty sprawiedliwy, ale niebardzo — a dawniej byłeś jeszcze gorszy.

PRAMŻIMAS·

Chaliera ty bezczelna! jak dam tobie hrymaka w kark — tak tobie rodzime mleko odrygnie się. Gadaj mi prawdę.

LICHO.

Prawdę? a gdzież ja Panie miał ją spotkać? od Trzech Króli siedzę w wierzbie do Wierbnej niedzieli — tu mnie wyświecą, tak przenoszę się w pierogi i w jajca — w miaso do Wielika dnia. A potem wykadzą — tak w drobne kwiateczki wędruję — i znów mnie leją kropidłem w Dziewiatuchę — tak ja w warzywo — w jabłka i wszelakie ziele — w świętą Zielną i stąd wygonią — to ja pójdę w wodę i już siedzę tam do Trzech Króli. Ot życie, niedola — talerz łez.

PRAMŻIMAS.

Co tu? wielki snop ognia upada na niebo — a z ognia nieboszczyk.

LICHO.

To Rusawka, ona blada, wiecznie milcząca — ma złociste szaty, które ślepią, a lubi — lubi załaskotać w zbożu.

(Pojawia się Rusawka).

PRAMŻIMAS (surowo).

Cziego?

RUSAWKA.

Panoczku mileńki, a toż końca niema! moje dziatki jak są zamęczane! rozrzuci ich po polu hospodar, potem baranami drze, mięsza z piaskiem, — i ledwo te nieboractwa urosną, a tu i śnieg i gołoledź, a tam znów Sotwaros przygrzeje—one strzelą zielonemi główkami—i Jadzierki je poczną kochać—dyamentowa rosa jak wrzeciono się toczy przed niemi—a tu białą pannę Niedzielę psy gonią, a tu Wiedźmar i Nacznice, a tu Jaszczar — kat na cnotę dziewic. I wszystko to niby nic — a cała bieda jak przyjdą kosiarze — pożną moich złotych rycerzyków, powiążą, w gumnie cepami młócą, potem w skrzydlatym kamieniu trą, na proch zimny zmielą—z wodą zbebrają — i znów baba kułakami bije — i w piec rozpalony tka — która dobra — to choć wodą poleje, trochę z moich dzieci duch odejdzie.

PRAMŻIMAS.

Daj spocząć, bo i ze mnie wyszedł.

LICHO.

Już to nie te czasy, kiedy gospodyni wiaderkiem słońce do chaty nosiła — porobili okna duże — rozpusta teraz, Panie Przedwieczny — leci taki żmij żelazny.

PRAMŻIMAS.

Owo łżesz.

Żmij żelazny mieszka w chatce pod dwoma dębami, sam go co wieczór rękami karmię, strzeże mych beczek ze złotem i srebrem.

LICHO.

Tamten żmij wielki, jakby wszystkie chałupy się powiązały we wsi i poleciały — szpony ma jak koła — skrzydła jak chmurę — zębów nie naliczyć.

PRAMŻIMAS.

Miałeś jeden ślep—i ten ci kowal ogniem wypalił.

LICHO.

Widzieć to mnie nie potrzebna — ale co ten piorun dokazuje — wciąż mnie do piekła zapędza — jednym szwem bił w drzewo, gdzie się ukryłem.

RUSAWKA.

A boś mu figę wystawiał i beczał jak kozieł.

LICHO.

Triaścia jego mamie—temu strzelcu, co mię złotowką postrzelił.

RRAMŻIMAS.

A jak ty śmiał kozie wyrwać ogon?

LICHO.

Wiadomo jak — na początku to było świata — leży koza — z gliny ulepiona, kto ją ulepił? tedy rzekę: wstań kozoczka o własnej mocy.
Nie rucha się.
Wstań córeczka o mojej mocy!
Nie chce ij się.
Tedy mówię głosem strasznym: wstań!

RUSAWKA.

A dodał pocichutku: o mocy Boskiej!

LICHO.

Koza na równe nogi się zerwała.

RUSAWKA.

A on jej ze złości za to wyrwał ogon.

PRAMŻIMAS.

Jakiej mocy tyś wzywał?

LICHO.

Twojej, ojcze rodzimy.

RUSAWKA.

Kłamie.

LICHO.

Twojej, Przemądry.

RUSAWKA.

Kłamie.

PRAMŻIMAS.

Jak dam tobie hrymaka!

LICHO.

Przyznam ci Panie—nieszto straszne na krzyżu wisi—i koronę nosi

RUSAWKA.

Z ciernia.

PRAMŻIMAS.

Owo niech nosi.

LICHO.

Gady, żmije, żaby – wszelakie robactwo ten Pan Jezus żywi pod głazem—mówi że oni są chudopachołki cesarstwa niebieskiego.

Na nabożeństwach mu kadzą, uciechy niewinnej zabrania—powiesić nie wolno—hrymaka dać nie wolno – już ja koguta nasadził—zniesie jajo – to będzie Lucyper i ogonem zamiesza – to będzie znów czysto — czysto – czysto.

PRAMŻIMAS.

To ja już im nie bóg? (ciska w gniewie orzechami).

LICHO.

Sareny—faraony—morscy ludzie pytają się wzajem, kiedy będzie koniec świata?

Wodni króle już nie wychodzą z morza—piosnek nie nucą.

PRAMŻIMAS.

A me bohatery?

LICHO.

Żalizny Wołk już podechł, Rozwalimur, Złomiżaliezo, Sobaka, Łoj, Gryf—nima ich.

PRAMŻIMAS.

Czemu tak?

LICHO.

Kiepski duch na świecie, już teraz i wilkołka rzadkość napotkać – pręgi to ma bure, ogon, mordę ludzką.

PRAMŻIMAS.

Dawnom i nie polował, mamuty gdzieś wywędrowały.

RUSAWKA.

Panie mój kochanieńki, napędź tych ludzi, co idą żąć—albo daj mi

pomocników, niech przesadzę te kłosy wysokie, co są stróżami żyta — do twojego ogrodu, moje pierworodne.

PRAMŻIMAS (do Licha).

Zwiąż dwie brzozy na wierzchołku jej kosą i pohuśtaj babę.

LICHO (wyprowadza Rusawkę.

Żeb' cię wołk zariezał.

PRAMŻIMAS.

A po drodze zawołaj mi Wandę i Weja (sam). Dawno czuję nosem, że gnije, stęchlizna idzie od tej ziemi—trza raz ukończyć.

(Wchodzą dwa olbrzymy — Wanda, demon wody i Weja wiatr—popychając się i falując).

WANDA.

Znów mi każesz, Panie, nosić wodę sitem?

WEJA.

Mnie dmuchać przez słomkę!

WANDA.

Raz tylko byłeś dobry—zrobiłeś potop—wezbrało się Bałta mare i szło rycząc czarnemi grzywami — i wyrwało puszcze baobabów jak powódź rwie marny pokos traw — i wspłynęły szczyty Tatr jak wysepki bezludne —i polżałoby ziemi—aleś rzucił łupinę orzecha i odratowałeś dwoje dziadów — i kazałeś mi cofnąć wody — i został moczar—a na nim te wynędzniałe wieki na czołach [1]).

PRAMŻIMAS.

Ha, budzi się we mnie stary groźny gniew na ludzkie plemię.

Zawyj Weju — chmury siekących fal nieś od morza na ląd.—

Ty Wando—rozerwij tamę piachów nad Połągą i wlej się strasznem nienasyconem gardłem w tę bagienną stęchłą krainę—

(Wanda i Weja wychodzą. — Na progu spotyka ich Perkunatele [2]) w płaszczu obszernym —promienny dyadem—włosy długie nad czołem rozdzielone — twarz surowa, z piorunem w dłoni, stopy w obłokach—gwiazda na jej ramionach lśni).

PERKUNATELE (do olbrzymów).

Czekać.

WANDA i WEJA.

A któż ty taka?

---

[1]) Czeło-wieki. [2]) Gromownica, święto jej w dzień Matki Boskiej Łaskawej.

PERKUNATELE (wiąże im ręce piorunem).

W przedsieniu!

WANDA i WEJA.

Cały pałac oblężony—tysiące migotliwych tarcz.

PRAMŻIMAS (stropiony, po długiem milczeniu).

Jedz orzechy, córuniu, figi rajskie, jabłuszka zorzy mam schowane dla pieszczotki. Chcesz mleka z chmur?

PERKUNATELE.

Chcę dostać do rąk mych Hapuna.

PRAMŻIMAS.

Kto taki, kto? pewno jakieś biedne bajdikłe [1]) na moczarze zaparskało Ci biały nenufar.

PERKUNATELE.

Ten najpodlejszy z błotnych szatanów topi narody w grzęzawie.—

PRAMŻIMAS.

Et, żydowska historya. Mojżeszowi kiedyś dyabeł pomógł żydów pozbierać na pustyni i za to ma prawo porwać jednego w strasznej nocy i włożyć między wierzchowiny drzewa.

PERKUNATELE.

Już nie zmierzch, aby gaworzyć o bajkach. Gród Hapuna nad otchłaniami błot, zagrabione skarby, lupanary w świątyniach, widzę pola obciągnięte krwawym lodem, straszne góry ciemności.

PRAMŻIMAS.

Perkunatele, w morzu niema Hapuna a też jest straszno. Czają się tam głowonogi, źrą kraby; a czy lepiej w borze? Przyleciał raz gołąb, ścigany przez jastrzębia i schronił się do mej piersi—i musiałem go oddać jastrzębiowi.

PERKUNATELE.

Tyś to uczynił?

PRAMŻIMAS

Bo to jego prawo — poszarpać gołębia— i tem uratować siebie—od głodnej śmierci.

---

[1]) Straszydło.

PERKUNATELE.

Mogłeś go był — nakarmić — własnem ciałem.

PRAMŻIMAS.

Za ilem ten świat kupił, za tyle sprzedaję.

PERKUNATELE.

Tanio.

PRAMŻIMAS.

Oddawna czuję w tobie duch nowinek. Nie jesteś już nawet boginią. Twój strój jest wyzwolony z praw niebiańskiej harmonii.

PERKUNATELE.

Jest zimny od zamrozu — i jest wiosenny od tysięcy kwiatów złotych, liliowych, krasnych i białych na runi zielonej.

Jest pełen skał i ma piasczyste cmentarze. Lśni gwiazdami nad rozpacznym wirem bagiennej ziemi.

Wyją mi wilki w zamieciach śnieżnych — nucą mi słowiki w dzień Zwiastowania życia lepszego i od rodzeń się czasu.

PRAMŻIMAS.

Ha, ha! mam ci ustąpić — przyszłaś po władzę — he? mówi przysłowie, że człowiek jest to stary łapeć walający się na śmietnisku — nie — jest to stary bóg — uchodzący ze swoich ołtarzy.

Ano, rządź. Przemieniaj. Masz klucze. W tej oborze są nawałne chmury, w tem gumnie zaraza — w świronku stare żelaztwa mąk piekielnych.

(Perkunatele rzuca klucze do studni).

Co?

PERKUNATELE.

Te klucze dawno nie zamykają nic. Świat idzie swemi prawami.

PRAMŻIMAS.

A te kilkaset bogów co ze mnie powstali i te ćmy barzduków [1]), piziów [2]), kirnisów [3]), kaukich [4]) — których wykichałem.

---

[1]) Gnomy brodate. [2]) Amory. [3]) Bóg wiśni. [4]) Karły w czerwonej czapeczce — duże na palec.

Cały mój dwór czy rozpędzisz?

Stróże ogrodów, miłosne straszki—mamże zapakować na Griżdoratę wóz niebieski—i wlec sam Gwiazdy, które pożeniłem i nie dałem im dotąd nawet małych posagów! Numejasa i Peskię — którzy objeżdżali kraj, ucząc gościnności—mam że ostrzedz: strzeżcie się gości! [1]).

PERKUNATELE.

Wiek temu bym powiedziała: wymordujcie gości — teraz muszę już powiedzieć: bądźcie im braćmi.

PRAMŻIMAS.

Ano, ano, ciekawe. Rad jestem, że odpocznę. Zapalę bahun i będę sobie ziewał, słuchając starej kulawej bajki, której tytuł Metamorfozy albo Kurwajczyn i Erajczyn. Masz tu na wszelki wypadek harap. Jeśli Cię nie posłuchają. Oczywiście Cię nie posłuchają. Bogów się nie zmienia bezkarnie.

W lochach siedzą bohaterowie, przykuci łańcuchem, co robili na mnie.

Widzisz tę górę—to koniec świata: piekło. Zdaleka już dusze jęczą —dym w kotłach—a w środku dwunastu łańcuchami okuty Lucyper. Podobno się urwał i ogonem miesza świat.

Do piekła gościniec kazałem wymościć na siedm sążni szeroko, a tu jak wiesz, tylko mała świńska dróżka prowadzi. Niema dla kogo.

Tam na błota sama lepiej nie chodź. Na krekaciach [2]) siedzą straszne łapauche czorty i żaby pieką przy ogniu — bo żabi jad najgorszy — niczem go nie wyleczyć.

A nie daj, aby nieboszczyki zabierali wszystko szczęście ze sobą.

(Pramżimas wychodzi. Perkunatele wyciąga z za piersi krzyż i patrzy z miłością, łzy jej zwolna spływają.—Wpełza Raupuże, ropucha).

RAUPUŻE.

Moja Pani—nie martw się - miałaś Synka i Tobie go zabili—ja miałam czworo dzieci—a chłop mi je kosząc trawę, ściął.

---

[1]) Były domy gościnności publicznej na Litwie, gdzie cudzoziemcy mieli pełne bezpieczeństwo.

[2]) Bagna.

PERKUNATELE (uśmiechając się).

Czy dużo was jest takich dobrych?

RAUPUŻE.

Dużo, dużo—ale nam dokucza rak—co samego Pana Jezusa znieważył. On szedł drogą i nastąpił na raka. Wtedy rak krzyknął: jak idziesz—czy masz oczy...

Za to Pan Jezus zrobił oczy rakowi w tyle.

Ale na nieszczęście, szczypcy mu nie odjął.

A też dokucza nam łaska. Trza' mówić Panna Łaska, bo w dzbanek jadu naparska.

A i Bocian. Chodzi po bajorach, stawach—co dziobnie oszczepem, to jedną z mych sióstr ma. Mówią, że pióra białe dał mu Pan Bóg—a dyabeł czarne — ale dziób — to już sam musiał sobie zrobić — zły ptak — zły.

A jak tam możesz, Panienko—to niech już chłopcy w nas kamieńmi nie rzucają—ot i ja sama mam przepuklinę—i wnętrzności wlokę (odkica).

(Perkunatele siada na tronie).

PERKUNATELE.

Wanda, zagraj w konchę, zwołaj mi bogów na wiec. Weja, rozwiej te mgły.

(Wanda i Weja rozsuwają wrzeciądze chmur. Przez rozchylone mgły widać na górze modrej dziwny świat — drzewa szmaragdowe i z kryształków lodu—cmentarzyk z krzyżami — a po nim chodzi wielka czapla—kapliczka wykuta w skale—na wysoczyźnie zamki bogów—piętrowe, z wieżami, jak w jasełkach — zwierciadła okien przybrane w błyskotki — i dużo, dużo zieleni. — Wyzierają zewsząd Dewaj-bogowie i Dewe-mate boginie i Dewajtas geniusze, i karły strzegące wiśni, bzu, miłostek, zboża, chorób).

WANDA.

Oto Pani wasza i moja na wieczne szumy trawy—drzew—strumieni—jezior i białogrzywiastego morza.

WAJDELOTENIE [1].

Wyśnieży Ona ludzkie serce, jak brudny głaz rzucony w kaskadę zmienia się w marmury, w jaspis i lśniące chryzolity.

PERKUNATELE.

Jestem wolna — i wolność daję wam zdobywać. Patelo, duchu powietrza, rozwiąż bohaterom kajdany.

---

[1]) Kapłanka ognia świętego.

Bogowie, możecie rozbić mury tego dziedzińca. Twórzcie nową ziemię i nowe niebiosa.

Pomnijcie ulżyć niedoli człowieczej.

Ty Sotwaros — nieś jak dawniej, swoje promienie—pouczaj pasterzy, bardów i lekarzy. Nie darmo Cię zwą Zbawicielem.

Ty Atrympie uchyl tajemnic wiecznej młodości — narody zasiedziałe w czarnych kurnych chatach prowadź za sobą w morskie fale.

Ty Żwajgżdyksztis, władco gwiazd—układaj szczęsne horoskopy.

Puszkajto, broń lasów.

Bubilos, miarkuj nierządy uczt, kraś je czystym miodem i rozumną biesiadą.

Lela, nie lataj po nocach, wiodąc dziewczęta na góry dyabelne.

Pilwite, rozkryj komory swe pełne bogactw zapracowanych.

Lietuwa, poucz prawdziwej miłości tych, co znają tylko wyuzdanie.

Żemine, naga, z włosami rozpuszczonymi, niosąca wianki kwiatów, jabłka i winograd, i ty zbożowłosa Krumine, proszę was, niechaj zwierzęta i ludzie nie konają z głodu, w męczarniach.

A ty Kaunis, mały karle skrzydlaty, kryjący się w fałdach swej matki Mildy — czy umiesz tylko zaprawiać swe strzały jadem, a nie boską ambrozyą?

Lecz wszystkim mówię—zmieniły się czasy—życia wóz okuty żelazem, naładowany jest teraz górami trudu. Nie wstydźcie się iść między ludzi i świecić boskością pracy — w chatach i świątyniach zapalcie święte żertwy.

Niech miejscem ognia Żiniczem — będzie każda uskrzydlająca się dusza.

Mów ty, co jesteś strażnikiem.

Starzec, jak snop żyta, broda jak ogon siwego konia, nos zakręcony jak trąba skierdzia [1]),

DYDUMAS.

Tej nocy sto się urodziło i sto umarło.

Dałem im w beczce jednej siłę — w drugiej marność.

I wszyscy wybrali marność.

Jeden tylko zaczerpnął siły — i wszedł na stos ofiarny.

Teraz on błądzi nad morzem, szuka śmierci Żundisa [2]), którego też zwą Hapunem, ta śmierć jest w dębie ośm sążni grubym, trzeba go potrzykroć obejść, zmówić modlitwę i podpalić—wtedy się otworzy pokój,

---

[1]) Ligawka pasterza. [2]) Dyabeł.

w tym pokoju jest ptaszek, i on śpiewa piosenkę. Kto jej wysłucha, będzie znał drogę aż na dno morskiego pałacu – i tę skałę, gdzie się ukryła w kaczem jaju śmierć Żundisa.

PERKUNATELE.

I wtedy świat uczyni się dobrym, nastanie pierwsza epoka Nieba na ziemi.

KAWAS (szyderczo).

A ja bóg wojny – na igryszczach Alexoty [1]) będę tkliwie nucił skotopaski.

KWARABA [2]).

O, biedne, biedne moje dziatki—
Pawetrie, która roznosi dżumę—
Sziltinie, co praży gorączką—Sauslige, która wchodzi w płuca i tam się tuczy, słuchając muzyki kaszlu, a Gumbas, katar żołądka a Bados głód – a najmilsza moja Arełka? [3]) was chyba wzamian rozpalę wódką, położę na moczarze, skręcę wam włosy kołtunem i obleję ropą.

MEDŻOJMA [4]).

Ja mój oszczep zamienię na flintę niedzielną, ha! ha! i tak już niema niedźwiedzia, klempa [5]) jedna tuła się okulawiona.

Grubą zwierzyną stał się skowronek, zając najdłużej potrwa, bo jest wykuty na nagrobku ostatniego hetmana.

GILTINE [6]).

A ja przy konaniu zanucę: cziu-ciu-lulu.

KRIKSZTAS [7]).

Postawili mnie na mogiłach, każą mi ramiona wyciągnąć, gwoźdźmi przebili mi ręce—nie chce mnie nikt zdjąć.

PERKUNATELE.

Wysłuchajcie głębokich objawień nocy. W otchłaniach pełnych ognia duchowego żyje ów Nieśmiertelny i Najwyższy, któremu niema imienia.

---

[1]) Afrodys, róże białe, piosnki jej poświęcone – dainos. [2]) Choroba. [3]) Gorzałka. [4]) Bogini łowów. [5]) Samica łosia. [6]) Śmierć. [7]) Bóstwo krzyża.

BOGOWIE (szeptem),

Bałamuctwa, lepiej było ze starym. Kutwa był, Hapuna miał za główny palec u prawej ręki, ale tam cosi, gdziesi można było.

He, he, Janek był mądry, a Magdeczka jeszcze mędrsza. Każe nam pracować—wolimy pójść w podziemne królestwa, gdzie są ludzie lochowi, mają swe lasy i zwierzęta i ptaki.

Dalej Barzduki, prowadźcie nas.

Tam są jeziora i czarowniczki Raganiki odkładają na brzeg swe skrzydła.

Tam jest i królestwo czarowników — wielki mur dokoła pałacu—na szubienicach ludzkie głowy odcięte.

Nawet świnie na pazurach tam mają pierścienie.

SIBIELE (z gęsiemi nóżkami).

My wiemy, my wiemy.—

MAMUNA.

Wszystkie tam moje bękarty posłałam, z wielkimi brzuchami—jedzą cały dół kartofli i piszą, że im dobrze.

Tam to mówią, że najlepsze jabłka świni się dostają.

AREŁKA (roznosząc czarki).

A ja mówiłam—a ja—a ja nuciłam, że niebo to wielkie okpiarstwo—bogu palą świeczkę, a czartowi ożóg—tam—tam—tam w dół!

(Bogowie kołysząc się, jakby odurzeni—wychodzą).

Perkunatele siedzi sama na tronie—przy niej tylko na głazach zostały Werpeje, przędąc nici z gwiazdami na końcu).

WERPEJE (nucą).

Cicho—cicho jechał bóg
przez góry i doliny—
nie zadrżało pod nim
ani żyto w kwiecie,
ani gwiazdy ranne—
szumiał tylko bór.
— — — —

Co tak szczekały psy wioskowe,
wybiegając do bramy?
Pramżimas jechał—
mgły się za nim wlokły—
w nocy—nad jeziorem.
— — — —

Spotkałem na drodze
bożego konika—
Przez siodło wschodziło słońce—
przez wędzidło księżyc—
a u cugli na końcu
drżała poranna gwiazda.

— — — —

Męże brodaci,
męże z za morza
do brzegu przypłynęli,
do sadu mi wpadli —
ruty zdeptali,
róże zerwali,
lilie pomięli,
roskę otrząsnęli.
Och i ja sama
ledwom się ukryła
pod ruty gałązkami.

— — — —

Mileńka Lietuwa,
droga wolności—
skryłaś się w niebios przestworze—
gdzież Ciebie szukać?
czy już tylko na łonie śmierci?
Bieda, mus i ucisk
na Wschód i na Zachód —
pot z pracy, krew od razów —
ziemię zalały obszerną.
Znijdź z nieba, użal się... [1])
Ach! (zrywają się w przerażeniu).
Mimo mać przemknęła czarta,
gryząc swe pazury.
Widzę słońce—już kulbaczy
sto karych rumaków—
jedzie zwolna, jedzie ciężko

---

[1]) Piosnki ludowe.

pod górę kamienną—
Teliawelis kowal ukuł
to słońce promienne.
I przez dziewięć okien szklanych
świeci jego złoty wianek.
Spieszmy, spieszmy uprząść
śmiertelną koszulę.
Wplatam tęczę wzniosłych marzeń.
Ja szkarłatne pasmo wiedzy.
A ja modrą nić objawień.
Ty siostruniu, daj mi złotą
lub choć srebrną szczęścia nić.
Ach, niedobra, wplotłaś czarną.

GADINTOJA [1].

Promień szczęścia w ręku noszę –
lecz mnie Ciemność urodziła
w grocie z lodu—wśród wichury—
nad pustynią zmarłych snów.
Pod mą ręką się zerwała
gwiazda świetna, gwiazda wieszcza —
a nić miała taką długą,
że opasać można świat.

SARGIETOJA [2].

Siostro miła, zwiąż tę nić—

GADINTOJA.

Gwiazda lśniąca już upadła
w mroźną otchłań—w czarny grób.

SARGIETOJA.

Widziałam go, wszedł na smolny stos.
Widzę dwór mchami zarosły.
Czemu dwór ten tak ściemniał?

NUKIRPTOY (ucinając płótno).

Stoczył się ze świata
jak ta jagoda.

---

[1]) Czarując powieściami, psuła płótna. [2]) walczy z nią, opowiada czyny bohaterskie.

YSZKAŁBTOY.

Gdy się obie uścisnęły—
obie martwe na ziemię upadły.
(składa przędzę do stóp Perkunateli)

— — —

Anioł z desek konia wybudował—
a z całunu szaty mu wykroił.
Idzie ten nieboszczyk
do siostry na obczyznie,
której życie — marzanna i głóg.
Z łez przeklętej córki
stawy się zrobiły —
a w każdem leży umarłe dziecko.

(Wchodzi pogrzeb — Patelo anioł śmierci pod postacią motyla nocnego prowadzi na powrozie mgliste widmo Xięcia. Hanna i kilka osób z kapturami na twarzach wiodą go).

XIĄDZ (kończąc mowę pogrzebową).

...Wyjdź, wyjdź najukochańszy przyjacielu — z domu swego idź do domu wieczności swojej... (słychać chichot).

Omiń męki piekielne—i tę krynicę tyle gorącą, iż gdy wrzucić szkło —tak topnieje: ludzie z oziębłem sercem w niej się warzą — ale ty Xiążę wspierałeś ubogiego.

GŁOSY ZAKAPTURZONYCH.

Żył z pracy cudzej, włościanie jedli mąkę brzozową—on hulał.

XIĄDZ.

Widziałem takich, co im łydki odgniły i mchem porośli, pokutując — ty, Xiążę, wydałeś bujne owocujące drzewo.

GŁOSY ZAKAPTURZONYCH.

Zamek i ziemię utracił na wieki — do zdrowych drzew wprowadził swoją krew przegniłą.

XIĄDZ.

Widziałem jezioro, w którem zapadł się pałac owego Pana, co konno wjeżdżał do kościoła i strzelał do ołtarza—ale ty byłeś pobożnym synem kościoła.

GŁOSY ZAKAPTURZONYCH.

Palił świece kościelne, gasił serca i dusze zimną niewiarą.

XIĄDZ.

I teraz leżysz tu niemy. Chciałbyś pożegnać — chciałbyś przeprosić — masz usta zamknięte, język w słup — i kark stężały, całe ciało zimne — przeprasza on przezemnie tych, co obraził.

GŁOSY ZAKAPTURZONYCH.

Jak polował na sarny zwabione do stogów — tak my będziemy go przeszywać wspomnieniem krzywd, gdy schyli się żebrząc o łaskę.

XIĄDZ.

Dziękuje słońcu i xiężycowi, gwiazdom, na które patrzył. Przeprasza trawki, które niepotrzebnie deptał. Dziękuje ziemi, z której miał pociechę dla ciała.

GŁOSY ZAKAPTURZONYCH.

I ziemia dziękuje mu, że już jej obarczać nie będzie.

(Hanna chyląc się do stóp Perkunatele).

HANNA.

Moja miłościwa i ukochana, chodzę po ciemnym borze, napełniając łzami małe czarki mchu — szukam wody żyjącej, przeszłam miasta wymarłe od głodu i powietrza, widziałam łóżka żałobnie usłane, siedem kluczów otwarły mi siedem dróg boleści.

PERKUNATELE.

Za kim prosisz — mów, lecz nie żądaj zmartwychwstania Xięcia.

HANNA.

Moja matka jest ślepa od łez, co wylała.

PERKUNATELE.

Weźmiesz jej wody z tego źródła do lilii kielicha i uraduje się słońcem.

HANNA.

Bracia moi pomarli w lochach.

PERKUNATELE.

Bracia twoi żyją — i ujrzysz ich na progu.

HANNA.

Las mają jutro wyrąbać — drzewa przyszły dziś w nocy do mej duszy i skarżyły się płacząc.

PERKUNATELE.

Znajdziesz skarb pod jabłonią, gdzie się modliłaś — więc zbaw naród tych drzew.

HANNA.

Widziałam rzeki rozlane i zatopione chaty — oniemiały od grozy lud stał na wysokich piasczystych cmentarzach.

PERKUNATELE.

Rzeki płyną już w tamach — nauczyłam lud, jak ma związywać ręce żywiołom — chaty nowe widniejsze postawi — dużo ślubów dziś dadzą w kościołach — i wiele miłości wyzna się pod jodłami.

HANNA.

Widziałam macki głowonogów, oplątujące trup królowej morza — czerwone raki wpiły się kleszczami w jej usta.

PERKUNATELE.

Pałac bursztynowy wypłynie z morza — i ona sama odpędzi myśli swe czarne.

HANNA.

Gród Hapuna jak jadowity skorpion obległ strzelistą katedrę świętego Jana — spalił się rycerz na stosie.

PERKUNATELE.

Zwycięży, jeśli jego serce napełnią gwiazdy nieśmiertelne. Słyszałam je w głosie milczenia, gdy tworzył nową duszę w ogniu pod dębem tysiącoletnim, rozłożystym — przez który śnieg ani deszcz nie przecieka. Idź już — niebo nad tobą się nie zamknie, ziemia kwitnąca prowadzić będzie twe dziatki do gwiaździstego tronu Tajemnicy.

HANNA.

Ach, jeżeli mi niebo otwarłaś, to zakryj mi ten grób. Ziemia nie zakwitnie spalona od mych łez — dziatek mieć nie będę, gdy on leży w grobie — nieomyty.

Pani moja — umarł z plamą na czole.

PERKUNATELE.

Patelo, odwiąż sznur — idź moje ukochane dziecię — ześlę ci matkę leśną, ona go uzdrowi zaklęciami — a ty będziesz jego duszę chroniła.

(Hanna bezmownie odchodzi, za nią Xiądz i pogrzeb).

PATELO.

Idzie rycerz w zbroi czarnej, pióro pawie gorejące jak świeca nad nim — podkowy konia jego jak xiężyc — koń to jest morski — chce skoczyć w głębinę — patrz -- omija dom twój, Miłościwa Pani. (odchodzi(

(Perkunatele szybko zbiega z tronu, rozwiera drzwi zorzy i patrzy ku mrocznym głębiom — słychać straszne westchnienia i potem jęk — jakby z miliona piersi).

PERKUNATELE.

Nie rycerz to w zbroi czarnej, lecz nędzarz zasmolony w sadzy kopalń podziemnych — nie miecz w jego ręce lecz młot.

A ten jęk straszny — w zgrzycie wyjących maszyn — ten jęk milczenia groźnego — ha! człowiek nowy idzie po oślizgłych od krwi wylanej turniach.

Idzie z tym młotem strasznym ku memu niebu.

Co chce uczynić — uderzył w kolumnę wiary i rozbił ją.

Podważył drzwi nadziei — i wionęła przeraźliwa śmierć, ale on wrzyna się dalej — i pali, ach — pali me drzewo miłości — krzyż.

(Słychać ryk morza — zebranego w dole tłumu. — Grad kamieni rozbija kryształowe błękitne szyby).

PERKUNATELE.

Rzucają mi obelgi i urągowiska.

Szukają mnie, aby zabić. Bogów innych już porwali i topią. — Aa!

(W grozie cofa się, widząc z pękniętej szyby wychodzącą czarną spracowaną i okrwawioną dłoń).

Ucichło — na niebo i grom — to Hapun straszliwy skorpion ich przygniótł — świszcze grad batogów — syczą kule — i płacz cichy — zduszony — Hapun — Hapun mnie bronił — o, wolałabym widzieć ten pałac rozbity przez młoty nędzarzów.

(Upada szlochając. — Po chwili słychać głuche stąpania, wchodzi okrwawiony Hapun).

HAPUN.

Niema nikogo? gdzie Pramżimas? — zostałem więc ja sam — na niebiosów szczycie—

(Perkunatele wstaje i wzrokiem strasznym patrzy w Hapuna — on się gnie i cofa do progu).

HAPUN.

Ja nic — tam rąbią lasy.

(Z głębi dolatuje przeraźliwy krzyk).

Już cicho — umilkły topory.

(Perkunatele zamierza się w Hapuna piorunem).

PERKUNATELE.

Nie — słońca! — słońca! — słońca!

(Perkunatele porywa gałąź kwitnącą, rozbłyskującą pochodnię zorzy — i biegnie szybko ku mrokom. — Hapun wyprostowuje się — rośnie — wytęża — i dźwiga swe straszne ponure skrzydła przedpotopowego ptaka gadu. — Siada na tronie).

Tadeusz Miciński.